

Polska czyta Sienkiewicza



*„Rzadko spotykany
geniusz, który wcielił
w siebie ducha narodu”
- czytamy o nobliście
Henryku Sienkiewiczu
w Oświadczeniu Komitetu
Noblowskiego z 1905 roku*

Piątego maja minęła sto siedemdziesiąta rocznica urodzin, a piętnastego listopada minie setna rocznica śmierci wielkiego pisarza Henryka Sienkiewicza. W związku z tymi rocznicami Senat RP ustanowił 2016 rok Rokiem Henryka Sienkiewicza, o tym też zdecydował cały polski parlament, uchwalając organizację całorocznych obchodów i popularyzację światowych osiągnięć tego pisarza. W uzasadnieniu decyzji senatu RP podkreślono, iż ustanawia się rok 2016 Rokiem Henryka Sienkiewicza, by „oddać należny hołd temu Wielkiemu Polakowi i przyczynić się do popularyzacji Jego twórczości”.

Jaką drogę przebył ten polski noblista i światowej sławy pisarz? Henryk Sienkiewicz, pseudonim Litwos, urodził się w 1846 roku w zubożałej rodzinie szlacheckiej na Podlasiu w Woli Okrzejskiej pod Łukowem. Chłopięce lata spędził na wsi, obserwując z bliska życie ludu, którego niedole przedstawił wiernie w swych wczesnych nowelach. Gimnazjum i studia wyższe odbywał w Warszawie. Jego matka marzyła, aby został lekarzem. On jednak w 1866 roku rozpoczął studia w Szkole Głównej, a później na Uniwersytecie Warszawskim, na Wydziale Prawa i Filozoficzno-Historycznym, lecz ich nie ukończył. Zaczął pracę w prasie warszawskiej jako reporter, felietonista, a następnie jako współwłaściciel „Niwy” i redaktor „Słowa”. Działalność literacką rozpoczął dość wcześnie, już w roku 1867, pisząc krytyki literackie, felietony na aktualne tematy, wreszcie nowele. Zarówno świetna forma tych krótkich opowiadań, jak i zawarta w nich myśl postępową i patriotyczną, zjednały młodemu pisarzowi wielki rozgłos. W nieco późniejszym okresie stworzył prawdziwe arcydzieła nowelistyki.

Henryk Sienkiewicz dużo podróżował. Lata 1876 - 1878 spędził w Ameryce Północnej, głównie w Kalifornii, gdzie zbierał materiały do swoich nowel i krótkich opowiadań. W 1886 roku udał się do Konstantynopola, Aten, Neapolu i Rzymu. W 1888 przebywał w Hiszpanii, a z końcem 1890 roku wyruszył

na wyprawę myśliwską do Zanzibaru w Afryce Wschodniej. Efektem tych podróży są m.in. liczne listy opublikowane w dwóch zbiorach: „Listy z podróży do Ameryki” (1878 rok) i „Listy z Afryki” (1892 rok). Z kolejnych miejsc pobytu stał nie tylko korespondencje, lecz także powieści. Rozpoczął twórczość od publicystyki, szkiców literackich i historycznych oraz nowel, które były osobistą reakcją na problemy w kraju i za granicą. Stał się doświadczonym nowelistą, stosował tę formę literacką jako szczególny krótki gatunek epicki. Jego nowele miały zwięzłą kompozycję, zawierały punkt kulminacyjny i wyraźną puentę. Sienkiewicz podejmował w nich tematy jednego problemu. Były to różnorodne sprawy obyczajowe, społeczne i psychologiczne. Poruszał aktualną problematykę pozytywną („Humoreski z teki Woroszyły”).



Ukazywał życie wsi powiatowskiej („Szkice węglem”). Przedstawił losy Polaka marnującego się na emigracji („Za chlebem”). Pokazał też sytuację chłopca zmuszanego do służby w armii zaborczej („Bartek zwycięzca”). W noweli „Janko muzykant” poruszył sprawę wychowania uzdolnionego dziecka wiejskiego, a w noweli „Jamioł” przedstawiał losy sierotki wiejskiego.

Odrębną problematykę stanowiły nowele amerykańskie. „Latarnik” z 1882 roku jest przejmującą historią polskiego emigranta obsługującego latarnię na obczyźnie. Podobny temat o „starej emigracji” mamy w nowelce „Wspomnienie z Maripozy” z 1889 roku. W „Sachem” z 1889 roku H. Sienkiewicz piętnuje zagładę Indian. Cała twórczość nowelisty jest potwierdzeniem jego szczególnej wrażliwości, jak żywo reagował na problemy, które poruszały ówczesną opinię publiczną.

Pierwszą powieścią pisarza była „Na marne” ogłoszona w 1872 roku. Już po dziesięciu latach powstało jedno z największych narodowych dzieł „Ogniem i mieczem”. Pierwsze wydanie z 1884 roku usytuowało autora w rzędzie czołowych prozaików polskich. Wkrótce ukazały się następne części Trylogii - „Potop” - wydany w 1886 roku i „Pan Wołodyjowski” - wydany w 1888 roku. Ten wielki cykl powieści historycznych wywarł olbrzymi wpływ na społeczeństwo polskie, bo chociaż Sienkiewicz przedstawiał czasy odległe, to rozbudzał świadomość narodową i podtrzymywał wolę oporu przeciw zaborcom. Trylogia przemawia do obcego czytelnika walorami artystycznymi, ale szczególnie do Polaków - była blaskiem pełnej chwały i pokazania minionej historii w bogactwie wielkich wydarzeń dziejowych. W końcowych słowach Sienkiewicz zawarł istotne przesłanie do narodu - „ku pokrzepieniu serc”.

Trylogia przyniosła H. Sienkiewiczowi sławę jakiej nie zdobył dotąd żaden polski pisarz. Mimo ciężkich przeżyć osobistych związanych ze śmiercią ukochanej żony Marii Sienkiewicz (pod koniec pisania „Potopu”) oraz z niefortunnym drugim małżeństwem - talent pisarza nadal się wzbogacał, po-



wstały nowe wielkie powieści historyczne: „Quo vadis” w 1896 i „Krzyżacy” w 1900 roku. Sienkiewicz zdobywał światową sławę i uważany był za najlepszego prozaika wszechczasów. Jego dzieła były tłumaczone na wiele języków, rozchodziły się w dużych nakładach w krajach europejskich, w Ameryce, a nawet w Azji i Afryce. W 1900 roku, mając 54 lata osiągnął apogeum swojej twórczości. Z tej okazji był obchodzony jubileusz 25-lecia jego pracy literackiej i ofiarowano mu - jako dar od narodu - majątek Oblęgorek, w którym obecnie mieści się Muzeum Sienkiewiczowskie. W 1905 roku, jako pierwszy Polak, został uhonorowany literacką nagrodą Nobla za powieść „Quo vadis”. Zyskał sławę za wybitne osiągnięcia w dziedzinie eposu. Zasłynął głównie jako twórca powieści historycznych, mniej udane są natomiast jego powieści obyczajowe: „Bez dogmatu” z 1890 czy „Rodzina Połanieckich” z 1895 roku. Dziś należy do najpopularniejszych polskich pisarzy w świecie.

Współczesnym czytelnikom mniej znana jest jednak działalność społeczna i patriotyczna Sienkiewicza na rzecz Polski. Już jako młody dziennikarz brał czynny udział w sprawach publicznych, występował w sprawie utworzenia muzeum w Warszawie i ufundowaniu pomnika Mickiewicza. Był współorganizatorem, a później prezesem Kasy Literackiej Warszawskiej wspomagającej młodych literatów. Zabierał głos w sprawach politycznych. Protestował przeciwko antypolskim posunięciom rządu pruskiego. Opublikował w tym celu w 1906 roku „List otwarty do J.C.M. Wilhelma II, Króla Pruskiego”. W okresie rewolucji 1905 roku publikował artykuły i odezwy, domagające się autonomii dla Królestwa Polski i nawoływał do zjednoczenia narodowego.

Wysoko jest ceniona także inna jeszcze pozaliteracka działalność społeczna pisarza. Występował w sprawach założenia sanatorium przeciwgruźliczego w Zakopanem, ochronek dla dzieci. Znaczący jest jego udział w Szwajcarskim Komitecie Generalnym Pomocy Ofiarom I Wojny w Polsce, którego został prezesem. Ta działalność daje również świadectwo ogromnej odpowiedzialności za losy ojczyzny i narodu. Jego ponad czterdziestoletnią działalność pisarską zamyka książką dla młodzieży „W pustyni i w puszczy” z 1911 roku. Jest owocem wędrówki po Egipcie i innych terenach Afryki Wschodniej. Stała się najbardziej poczytną powieścią młodzieżową.

Odzyskania przez Polskę niepodległości już się nie doczekał. Zmarł w Vevey w Szwajcarii, 15 listopada 1916 roku, okrywając żałobą cały polski naród. Sprowadzono jego zwłoki do ojczyzny i pochowano uroczyście 27 października 1924 roku w podziemiach warszawskiej Katedry św. Jana.

Pisarz cieszy się od stu lat największą poczytnością. Dworek w Oblęgorku, który otrzymał w darze od narodu przez dwanaście lat był głównym miejscem jego letniego wypoczynku i twórczej pracy. Opuścił go w 1914 roku z powodu wybuchu I wojny światowej. Po śmierci pisarza w dworku zamieszkała jego żona Maria wraz z synem. Warto podkreślić, że zakup nieruchomości w Oblęgorku sfinansowano ze zbiorów pieniężnych od mieszkańców wszystkich trzech zaborów. W 1948 roku dzieci Henryka Sienkiewicza zwróciły się do Ministerstwa Kultury i Sztuki, aby w dworku utworzyć Muzeum Pamiątek po ojcu. Takie muzeum powstało w 1958 roku i stanowi dziś oddział Muzeum Narodowego w Kielcach. Pomieszczenia dworku zostały wiernie odtworzone, a ich wygląd i wystrój nawiązują do czasów pobytu pisarza. Zwiedzającym udostępnia się gabinet, salon, jadalnię, sypialnię i palarnię, w których można zobaczyć oryginalne meble, obrazy, rzeźby, tkaniny oraz część księgozbioru Sienkiewicza. W muzeum, oprócz ekspozycji stałych, organizowane są także wystawy czasowe, a ponadto koncerty, sesje naukowe, plenery malarskie, lekcje muzealne.

W Oblęgorku rozpoczęły się główne uroczystości Roku Sienkiewiczowskiego z udziałem wicepremiera i ministra kultury i dziedzictwa narodowego, prof. Piotra Glińskiego. Odbyło się spotkanie z parlamentarzystami, samorządowcami i dziennikarzami, zorganizowane w pałacowym salonie, tuż obok gabinetu, w którym powstawała m.in. powieść „W pustyni i w puszczy”. Wicepremier podczas tego spotkania apelował o popularyzowanie twórczości noblisty. Powiedział m.in.: „Henryk Sienkiewicz nie tylko swoją twórczością, ale także działaniem dawał wyraz wielkiej miłości do naszej ojczyzny. Jednak to literatura go rozstawiła, a z kolei jego działalność społeczna została w dużej mierze zapomniana”.

Rok 2016 został również ogłoszony rokiem głośnego czytania w mediach książek Henryka Sienkiewicza. Od września br. Para Prezydencka będzie publicznie czytać powieść „Ogniem i mieczem”.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Wczesną jesienią w „Chłopach”



„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Takimi słowami zaczyna się arcyopowieść Reymonta. Jest ciepłe wrześniowe popołudnie. Droga ode wsi idzie, wspierając się na kiju, stara Agata. Wiosnę i lato spędziła w Lipcach, u krewnych, ale teraz kończą się roboty w polu, już im jest niepotrzebna

Jak próbuje ich tłumaczyć, „na zimę idzie, to jakże - darmo mi to dadzą warzę, albo i ten kąs do spania? A że, rychtyk, i ciotka odsadzili od maci... a i gąski, bo to już zimne nocki, trza zagnać pod strzechę - tom i zrobiła miejsce... jakże, bydłatek szkoda, Boże stworzenie też... a ludzie dobre, bo mię choć latem przytulą, kąta ani tej łżyki strawy nie żałują - że se człowiek, kiej jaka gospodyni paraduje... A na zimę we świat, po proszonem. Niewiele mi potrza, to se u dobrych ludzi uproszę i do wiosny z Panajezusową łaską przechyrłam, a jeszcze się coś niecoś grosza uściбі - to rychtyk la nich na przednowek... krewniaki przeciech... A jużta Jezusiczek przenajśodszy biedoty opuścić nie opuści.” Tak Agata opowiada księdzu, spotkawszy go przy drodze. A droga ze wsi, szeroka i wyboista, prowadzi w świat przez las. Zanim dotrze do tego lasu i zniknie księdzu z oczu, obejrzy się Agata jeszcze parę razy, ku wsi, ku polom, na których kopią kartofle; popatrzy na dymy pastuszych ognisk, nisko snujące się nad ścierniskami. Poprawi tobołki, mocniej ujmie kij zakończony jeżem dla obrony przed psami, westchnie z żałością i pociągnie w świat szeroki. Wróci do wsi wiosną.

Lipce, na które spoglądała z drogi Agata, leżą nieco w dole. Pośrodku wsi jest staw, przez który przepływa rzeka, ginąca dalek, na północy, między pagórkami. Staw jest ogromny, podłużny, a dookoła niego rozciąga się wieś. W dole stawu jest most, a obok młyn. Po drugiej stronie stawu, naprzeciw młyna, przy drodze wiodącej do lasu stoi kościół, osłonięty lipami i klonami; przy kościele cmentarz, a zaraz po drugiej stronie drogi plebania, w wielkim ogrodzie położona. Za plebanią, już na samym końcu wsi, a na początku drogi topolowej stoi karczma. Za wsią, dookoła, aż pod las i pod wzgórze, ciągną się pola lipeckie.

W ten cichy ciepły dzień wrześniowy „cisza była na polach opustoszałych i upajająca słodkość w powietrzu, przymglona

idzie drogą ku nim, ale zanim się zbliży do kartofliska, wiele jeszcze zobaczy. To drogą od lasów idzie jakaś dziewczyna i ciągnie za sobą na postronku dużą, czerwoną krowę. Prowadzi ją do młynarzowego byka, krowa szarpie i dziewczyna ledwie zdążyła „pochwalony” księdzu powiedzieć. To wlecze się Żyd szmaciarz, z trudem pchając wyładowane taczki po piaszczystej drodze. I z nim ksiądz przystanął, słów parę zamienia. Teraz środkiem drogi idzie dziad ślepy, przez psa prowadzony. A potem... „A potem leciał od lasu chłopak z butelką, ale ten, ujrawszy księdza przy drodze, okrążył go zdala i biegł naprzetaj pól do karczmy. To znowu chłop z sąsiedniej wsi wioził zboże do młyna, albo Żydówka pędziła stado kupionych gęsi. A każdy pochwalił Boga, zamienił słów parę i szedł w swoją drogę, odprowadzany życzliwym słowem i spojrzeniem księdza.”

Na Borynowym polu aż czerwono od babich wełniaków. To przeważnie stare kobiety i komornice, które same ziemi nie mając, u gospodarzy robią za ziemniaki, zboże i kapustę. Jest między nimi Hanka, Antka Boryny żona, z dzieckiem leżącym w płachcie krzyżaka. Jest stara Jagustynka, złośliwa, bez gadania nie mogąca wytrzymać, a przez los ciężko doświadczona, bo ją własne dzieci z chałupy wygoniły. Są i drugie, a nic nie umyka ich uwadze. Schylone do kopania, widzą i Agatę, jak szła na żebry, i księdza dobrodzieja, wolno ku nim nadciągającego, i syna Paczesiowej, siejącego nieopodal. Wszystko zaś muszą od razu obgadać. Gdy trzeba kartofle wysypywać na kupę, milkną na chwilę, a potem „już z rzadka pogadywały to o tem, to o owem”.

Tymczasem w obejściu Boryny Witek, sierota wzięty przez gospodarza na pastucha, chowa się po kątach, cały w strachu. Za zgonienie krowy nie miną go pasy, rzemieniem razy dawane ciężką ręką Macieja. Ma krzepę Boryna, choć jest

kurzawą słoneczną”. Prace polowe się kończą, zostały jeszcze podorywki, siewy ozime, jeszcze zebrać kapustę - ale to później. Teraz czas na kopania. Na Borynowym polu mrowią się kobiety z motykami. Ksiądz każe parobkowi kończyć orkę i

już pod sześćdziesiątkę. Dwie żony pochował, gospodarzy z Antkiem i Hanką, niedoroślą Józią, parobkiem Kubą i małym Witkiem. Twardo rządzi, ale i gospodyni brakuje, i jemu żony. Bez żony, jakkolwiek by się nie nadarzyła, źle chłopu. Jak to mówi ślepy dziad, „która głupia i niemrawa, która znów kłótnica, która do chłopskich kołtunów sięgająca, która paparuch a latawiec po muzykach i karczmach, a zawsze chłopu z nią lepiej i wygodą”. A jest na czym gospodarzyć. Podwórze Borynowe obstawione jest z trzech stron budynkami gospodarskimi: stajnią, oborą, stodołą, a z czwartej sadem. Dom, przedzielony na przestrzał sienią ogromną, szczytem wychodzi na podwórze, a frontem czteroosiennym na sad i drogę. Pola ma Maciej trzydzieści morgów, drugi gospodarz jest po młynarzu. Nie ma gospodyni, a „roboty jeszcze tyła... zwózka drzewa... siew nieskończony... kapusta w polu... ściółka niewygrabiona... podoraćby trza na kartofle... dobrzeby i pod owsy...”, głowi się Boryna. Antek i Hanka robią w gospodarstwie, ale to nie ich własność; czekają, aż ojciec przepisze im ziemię. Maciej nie spieszy się do tego, czuje jeszcze siłę, by

napoić konie i przyłożyć im siana, a to świnię wypuścić z chlewów. Już i Józka idzie do udoju, a roboty poranne w całej wsi idą: „wychodzili gromadnie na pola, którzy do kopania szli z motyczkami w rękę, dojadając śniadań; którzy z pługiem ciągnęli na ścierniska; którzy na wozach brony wieźli a worki pełne ziarna siewnego; którzy znów zasię wykręcali ku lasom z grabiami na ramionach, ściółkę grabić, że ino dudniło po obu stronach stawu i krzyk się wzmagął, bo drogi były zatłoczone bydłem, ciągnącym na paszę, szczekaniem psów, pokrzykami, co wybuchwały raz wraz”. Dzień schodzi na ciągłej pracy, chłopcy w polu, a kobiety uwijają się, bo nie tylko kartoflisko, ale tu jeszcze i len trzeba wymiąć, i kijankami odzież w stawie wyprać, i ugotować ziemniaki i żur na śniadanie, a kapustę ze słoniną na obiad, i chałupę przyogarnąć, inwentarz obrządzić, dzieci doglądać, najmłodsze nakarmić.... Tak dzień za dniem.

Nadchodzi niedziela. Odpoczynek. Rano najważniejsza jest msza, na którą stary Jamroży już dzwoni. Dzień wrześniowy jest cichy i ciepły, a że „słońce przygrzewało niezgorzej, wszystkie okna i drzwi chałup powywierano naprzestrzał; gdzie niegdzie pod przyzębami myto się jeszcze, gdzie znowu czesano i zapletano warkocz, gdzie wytrzepywano świąteczne szmaty, zmięte całotygodniowym leżeniem w skrzyniach, gdzie już wychodzono na drogę, że raz wraz niby maki czerwone, niby georginje żółte, co dokwitały pod ścianami, libo te nagietki i nasturcje - tak szły kobiety strojne, szły dziewczyny, szły parobcy, szły dzieci, szły gospodarze w białych kapotach, podobni do ogromnych żytnich snopów, a wszyscy wolno dążyli ku kościołowi, drogami nad stawem, kółren niby misa złota odbijał w sobie słońce, aż oczy raziło”. W kościele najprzedniejsi gospodarze zajmują miejsca przed ołtarzem, parobcy i biedota w kruchcie. Ksiądz grzmi jednak z ambony na wszystkich, a „mówił długo i tak mocno, że jaki taki westchnął skruszonym sercem, niejednemu łzy pociekły, a kółren znów zasie spuszczał oczy i kajał się w sumieniu - i obiecywał poprawę...”. Jeszcze uroczysta procesja wokół kościoła, jeszcze ostatni raz odezwą się organy; wieś wysypuje się na przykościelny cmentarz - teraz można porozmawiać niespiesznie w tej czy tamtej grupce. A w domu zaraz obiad niedzielny, u Borynów syty a długi: mięso, kapusta z grochem, rosół z ziemniakami, a na koniec kasza jęczmienna, uprażona ze słoniną, co jedli „wolno, poważnie i w milczeniu, dopiero kiej nasycili pierwszy głód, jeśli pogadywać i smakować w jadło”. Teraz można czy to podrzemać, czy to obejść powoli, spokojnie pola, czy iść do krewnych czy sąsiadów na pogadanie. A wieczorem - do karczmy. Popić, potaćnować, posłuchać muzyki, pogadać ze znajomkami, tak „po sąsiedzku postać, pogwarzyć, skrzypic posłuchać albo i basów; coś niecoś posłyszec nowego; - niedziela to przeciech - to odpocząć, ni folgę dać ciekawości nie grzech, a choćby i ten kieliszek wypić z kumami...”. Ale i niedziela się kończy, mrok i cichość ogarnia Lipce, że tylko gdzieś jeszcze słychać śpiewy powracających z karczmy czy poszczekiwanie psów. Jutro nowy, pracowity od wschodu do zachodu słońca dzień.



sam zarządzać. A i żona, jak się okazuje, będzie - po drugiej stronie stawu, naprzeciw domu Borynowego, stoi chałupa Jagny, osiemnastoletniej dziewczyny, najurodzniejszej we wsi. Nie będzie to dobry wybór, ale to potem. Tymczasem....

Tymczasem nad Lipcami zapada wieczór. „Słońce gasło, świeciły jeszcze zorze łunami zakrzęptej krwi i ostygniętego złota i posypywały staw jakby pyłem miedzianym. Wieś zapadała w mrokach”. U Borynów uwijają się z robotą. Antek z Kubą zwożą ziemniaki z pola, Hanka i Józka a to gęsi zaganiają na noc, a to świniom dają karmę, a to jeszcze krowy muszą wydoić, bo właśnie Witek przygnał je z pola. Gdy obrządek zrobiony, można i samemu zjeść. W innych gospodarstwach też już pokończyli prace, „ciemnawo już było we wsi, przez przywierane drzwi i okna, że to wieczór był ciepły, buchały smugi ognisk i zapach gotowanych ziemniaków i żuru ze skwarkami; gdzie niegdzie jedli w sieniach albo i zgoła przed domami, że ino skrzybot łyżek słychać a pogadywania”. Zaraz i pora na spoczynek po dniu pracowitym. Cicho we wsi, czasem tylko psy poszczekują. Sen twardy u gospodarzy, a najtwardszy u parobków, bo to oni wstaną nazajutrz najwcześniej.

W Borynowym obejściu o świcie, jeszcze przed wschodem słońca, najpierw budzi się śpiący w stajni Kuba. Daje Witkowi jeszcze trochę pospać, bo mu szkoda chłopaka, ale niedługo - muszą zrobić pierwszy obrządek zanim wstanie Maciej. A to wóz wytoczyć ze stodoły i nasmarować, a to

Jolanta Betkowska, Słupsk

Kilka uwag o antologii „Świat idzie inną drogą”



„Sztuka to kwestia gustu. Podobać się wszystkim - to w jakimś sensie klęska artysty” - stwierdziła Maria Peszek. Ta prosta i śmiało wyrażona prawda zainspirowała mnie do podzielenia się kilkoma uwagami o trzynastej z kolei słupskiej antologii poezji „Świat idzie inną drogą”, wydanej przez Starostwo Powiatowe w Słupsku

Słupskie antologie powstają w cyklu rocznym, czyli od trzynastu lat pan Zbigniew Babiarski-Zych patronuje poetom skupionym we Wtorkowych Spotkaniach Literackich, których wiersze stanowią trzon publikacji. Formuła antologii jest otwarta, dlatego swoje wiersze przesyłają twórcy z innych regionów Polski i z zagranicy: USA, Litwy, Ukrainy. Zwykle wpływa około tysiąca tekstów. Każdy ma prawo przesać dziesięć wierszy, z których redaktorzy wybiorą do druku dwa, trzy lub więcej. Wybiorą, posługując się własną miarą, koncepcją całości, w której preferowana jest tematyka wiejska. Kryterium artystyczne jest równie istotne, ale przecież to również kwestia gustu. Autorzy wierszy i czytelnicy dokonaliby być może innego wyboru. Dlatego wiersze w antologii nie muszą się podobać wszystkim, w tym tkwi jej urok. Powtórzę za Marią Peszek: „Podobać się wszystkim - to w jakimś sensie klęska artysty.” A przecież poetą się bywa. Każdy bywa poetą. I nie wszystko wszystkim musi się podobać.

Pozostaje otwartą kwestia, jak sporządzić spójną tematycznie i artystycznie antologię, która nie byłaby nacechowana osobistymi znakami wyboru. Redaktorzy mają świadomość, że wybierając wiersze do publikacji, jednocześnie dokonują oceny i interpretacji całości przesłanego materiału poetyckiego. Wybrane teksty charakteryzują twórców, ponadto prezentują poetycko region oraz budują informacyjną i artystyczną całość antologii z podstawową jej funkcją porządkowania obrazu życia literackiego regionu.

Jerzy Fryckowski, prezes oddziału Związku Literatów Polskich w Słupsku, współtwórca antologii, autor wstępu „Niepodzieleni” uważa, że: „Ponad 200 wierszy. (...) Na pewno to jakiś zapis obecnej chwili, bez względu na tematykę”, a Mirosław Krościeński w omówieniu podsumowuje indywidualny dorobek twórców regionu i rolę mecenatu Starostwa Powiatowego w Słupsku: „Nieprzypadkowo wymieniam i wręcz podkreślam, ile i jakie indywidualne książki wydali członkowie Grupy. Otóż oprócz corocznej antologii, Zdzisław Kołodziejski, starosta słupski funduje co roku kilka stypendiów twórczych”.

W grupie autorów w różnym wieku i z różnych środowisk są twórcy zajmujący się poezją „nieprofesjonalnie”, debiutanci oraz członkowie Związku Literatów Polskich i autorzy z dorobkiem wydawniczym. Jan Smalewski, autor przedmowy, obliczył, że „zebrano w niej prawie 270 wierszy 65 autorów, w tym kilkunastu z zagranicy. Podzielona ona została na osiem rozdziałów, w tym siedem wyróżnionych odrębnymi tytułami. W ostatnim - ósmym zaprezentowano wiersze 11 poetów z Litwy”. Podzielię się w tym miejscu uwagą pewnego czytelnika, dla którego układ nazwisk i tekstów jest niejasny. Przy w zasadzie jednolitej tematyce kolejność prezentowanych nazwisk i tekstów powinna podlegać jakiemuś obiektywnemu kryterium. Dlatego może warto rozważyć układ alfabetyczny przynajmniej w obrębie rozdziału? A może sprawdziłaby się formuła układu regionalnego - tak jak wydzielono wiersze poetów z Litwy?

Słupska antologia jest w jakimś sensie mapą literackiej aktywności. Obok wierszy zawiera notki o autorach i ich dorobku wraz z fotografiami, głównie Jana Maziejuka i Artura Wróblewskiego, z wyboru redakcji. Szkoda, że

dystrybucja ma formułę zamkniętą. Otwarty rynek byłby rzeczywistym sprawdzianem zainteresowania książką. Skądinąd wiem, że wrażliwi poloniści dbający o edukację regionalną swoich uczniów sięgają do antologii rozsyłanych do szkół po wiersze miejscowych poetów. Mimo to uważam, że zbyt mało organizuje się spotkań autorskich. Dorośli czytelnicy, mieszkańcy wsi, rzadko mają możliwość poznania twórców z własnego regionu, często nie są świadomi, że po sąsiedzku dzieją się rzeczy, „o których nie śniło się filozofom”.

Tytuł antologii został zaczerpnięty z wiersza Anny Karwowskiej. „Świat idzie inną drogą”. Píše poetka w tytułowym wierszu, żali się, że minęła młodość, przeminięło lub zmieniło



się wszystko, pozostał żal, a „tęż przerabiam na wiersze”, wyznaje w zakończeniu. Przemijanie, znany motyw poezji, słupscy poeci podejmują najczęściej. Wiersze stają się zapisem pamięci, próbą ocalenia przeszłości, oswajenia lęku przed nowym, wpisania w nowy czas dawnych obrazów i przede wszystkim kanonów wartości. Topos domu, którego „już nie ma” (Andrzej

Szczepanik) obecny jest w wierszach Mariana Kwidzińskiego, Romany Małeckiej, Jana Smalewskiego, Janusza Klisia i innych twórców. Najbardziej znany i powszechny motyw zawiera uniwersalne treści aksjologiczne, niesione przeszłością, którą poezja ocala. Wieś, rozległe pola, zboża i żniwiarze, kwiaty, opłotki i ptaki - symbole (żurawie) są podstawowymi motywami poezji o dawnej wsi. Czy wieś taka była naprawdę? Bez przednówka, biedy, analfabetyzmu, pracy ponad siły, dostępu do opieki zdrowotnej? „W dziejach polskiej wsi w XX w. zdecydowanie więcej było okresów niekorzystnych niż okresów dobrej koniunktury gospodarczej i politycznej. W latach międzywojennych nie udało się rozwiązać najważniejszych problemów związanych ze strukturą agrarną i przeludnieniem. Wojna i okupacja pogłębiły biedę oraz zacofanie gospodarcze wsi, a po drugiej wojnie światowej błędna polityka państwa zaowocowała nie tylko stagnacją gospodarczą w rolnictwie, ale również pogorszeniem poziomu życia wszystkich mieszkańców kraju” - pisze Małgorzata Machatek ze Szczecina w publikacji „Przemiany polskiej wsi w latach 1918 - 1989”.

Mimo to świadectwem tamtego czasu jest idealizująca pamięć zapisana mową wiązaną - w opozycji do współczesności, którą Eliza Frąckowiak opisuje w wierszu „Chłód”:

*Zimno mi strasznie
od betonowych ścian miasta,
od chłodu słów
Pocięte usta zdaniami
i popękane od mrozu.
Zmarznięte serce
jak bryła lodu.*

Poetycki opis świata, który przeminął, stanowi główny temat utworów zamieszczonych w antologii. Motyw vanitas jest rozwijany na wiele sposobów. Dla Zofii Smalewskiej przeszłość staje się obszarem poetyckiej nostalgicznej idealizacji. Jan Smalewski bohaterem lirycznym czyni ojca, który „Siedział i rozmyślał nad mrokami duszy”. Jerzy Fryckowski, autor „Listów do Matki”, realizuje ów motyw poszukując sposobów przezwyciężenia „vanitas vanitatum, et omnia vanitas”. Miłość i jej poetycki wyraz nie są ograniczone czasem, a ocalającą

pamięć przywraca sens minionym dniom. Wiesław Stanisław Mikulski pisze: „czas wciąż biegnie / w stronę wieczności // ile zostawimy po sobie miłości / - prawdziwe skarby / prawdziwy nasz blask / i sens życia / które mija...”.

Czas mierzą poeci porami dnia i roku, opisem zdarzeń i pejzażu. Św. Augustyn w „Wyznaniach” pisał: „Czymże jest więc czas? Jeżeli mnie nikt o to nie pyta, wiem; gdy zaś chcę wyjaśnić pytającemu, nie wiem.” Według filozofa czas jest jakimś wymiarem świata materialnego i wiąże się z przemijalnością. Poeci materializują czas jako relację podmiotu wobec świata. Czas wpisany został w obraz, jawi się jako „jesienny wieczór” (Emilia Maraśkiewicz) albo „w środku zimy / w połowie drogi do wiosny” (Teresa Nowak), albo „Rozpachniał się czerwiec piwonii paletą / wieczory jaśminem namiętne odurza” (Ludmiła Raźniak). W tym sensie wiersz jest nośnikiem czasu jako chwili powstania wiersza oraz czasu przywołanego poetyckim obrazem.

A świat? „Świat idzie inną drogą”. Ważna jest tu forma czasu teraźniejszego. Nie ma innej możliwości, świat (czas) wciąż idzie, nie stoi w miejscu, przemijanie jest jego immanentną cechą. Młodzi literaci, jak zawsze, odpowiadają twórczością na problemy współczesnej rzeczywistości. Joanna Orska (ur. 1973) - krytyk i historyk literatury do najważniejszych dla liryki płaszczyzn budowania metaforycznych znaczeń zalicza język, podmiot i świat przedstawiony. W takiej właśnie kolejności. Jej zdaniem liryka narracyjna „pozostaje główną formą ekspresji nietypowej - awangardy lat 90. - od Świetlickiego do Podsiadły, przez Wiedemanna i Foksa, po Sosnowskiego i Piórę”. Nowoczesna poezja jest wypowiedzią prywatną. Podstawowym tematem jest indywidualne, egzystencjalne doświadczenie jednostki.

Mam świadomość pokoleniowych powiązań i doświadczeń autorów prezentowanych w antologii. Linia podziału wydaje się dość wyraźna. Wśród młodych twórców wyróżnia się Izabela Iwańczuk (1976). W jej wierszach nowoczesność świata wyraża się w leksykalnych i frazeologicznych neologizmach. Poszukiwania w obrębie języka są, moim zdaniem, podstawową funkcją poezji. Natomiast Agnieszka Klekociuk (1983) konstruuje podmiot liryczny jako osobistą, prywatną religijno - patriotyczną postawę wobec zjawisk obecnych w powszechnej świadomości budowanej przez media zarówno świeckie, jak i katolickie.

Wiersze Katarzyny Nazaruk ujmują szczerością wyznania, konstrukcją świata przedstawionego jako relacji erotycznej i miłosnej między dwojgiem.

Ciekawą formą wyróżniają się wiersze Artura Boka - Szwabowicza. Poeta pisze tercyny na wzór modnego w ostatnim czasie haiku, lecz odchodzi od przyjętego w języku polskim metrum - 17 sylab podzielonych na trzy części znaczeniowe po 5, 7 i 5 sylab. Wiersze Boka - Szwabowicza mają ważną zaletę: odnoszą się do walorów przyrodniczych Słowińskiego Parku Narodowego.

*„Trzcina zarosła (5)
brzegi jeziora.(5)
Widać tylko taflę nieba”(8)*

Oryginalny pomysł poetycki zastosował Mirosław Kościński. Wprawdzie brydżowy szaf przeminął, a właściwie stał się domeną netu, ale forma poetyckiego „Pamiętnika karciarza” jest niebanalna. Nie rozumiem jedynie wersu o wyraźnym seksistowskim zabarwieniu: „jest brzydka i zmęczona jak większość / żon uśmiechnięta dama karo”.

Naprawdę podoba mi się wiersz IV, z baśniową, niemal średniowieczną metaforyką. Autor pozostaje wierny od dawnego stosowanemu wolnemu systemowi wersyfikacji, korzysta z zasady łamania zdania przerzutnią, co zbliża melikę wiersza do języka potocznego, jednocześnie wprowadzając element dramaturgii.



„wyfiolkowane cztery damy rozparły się w karecie
 obsypany złotem stangret siedział na koźle
 jak atutowy as zwiastując wygraną i łatwe
 życie więc każdemu kto kocha
 i nienawidzi kto był kochany i zdradzany
 płakał po przegranej jak dziecko i aktor
 podobnie się śmiał
 otrzymywał w prezencie wiązanki
 zwiędłych pożegnań i zmiętych powrotów
 kto mówił prawdę i sto razy kłamał
 wciąż zaprzeczał i potakiwał
 któremu kołowrotek szaleństwa rwał
 żyły serce stawało jak źle nakręcony
 budzik sztylety faktów kaleczyły
 oczy bezradność nakładała kajdanki
 każdemu życzę po przegranej
 samotności wiernej jak pies”

Może jest tu
 coś z „Ballady o
 Paniach Minionego
 Czasu” François

Villona? Nieudane życie, egzystencjalna samotność są szkicem do portretu mężczyzny, który przegrał z losem i pytań o sens i podstawowe wartości.

Autorzy omówień i wstępu, w tym Mirosław Kościński, zwrócili uwagę na wiersze Grzegorza Chwieduka ze Słupska. Autor jest muzykiem, jego wiersze jak teksty piosenek są melodyjne, rytmicznie zrównoważone i publicystycznie aktualne. Mogą się podobać, ale na pewno lepiej zabrzmią z muzyką, akompaniamentem gitary.

Bogato prezentowany jest nurt poezji z motywami religijnymi. Ujmujące prostotą i szczerością są wiersze, jak: Władysława Panka „Legenda o Matce Boskiej”, Emilii Zimnickiej „Narodzenie”, Genowefy Gańskiej „Pani błękitem odziana”.

Z przedstawionych kilku uwag łatwo wysnuć wniosek o różnorodności wierszy prezentowanych w antologii. Taka jest też jej funkcja - opisać region wierszami, przedstawić twórców, ich artystyczne zainteresowania i aspiracje.

Antologia „Świat idzie inną drogą” nie musi się wszystkim podobać. Nie wszystkie wiersze w równym stopniu zainteresują czytelnika, ale zapewniam, każdy znajdzie w tej książce coś dla siebie.

Czesława Długoszek, Objazda



Marian Kwidziński - wiersze

OBAMA W HAWANIE

Taniec życia trwa
 choć trupy się ścielą
 pająk na ścianie
 nie każdemu szczęście pisane

Bocian w niepewności
 swe gniazdo buduje
 na ekranie matka po synu łyzy sztydelkuje
 w tropikalnym słońcu śmierć się opala

Każda intonacja dźwięku
 już nie zaprasza do tańca
 prędzej do orszaku pamięci skazańca
 czekam na jeźdźcę na białym koniu
 niech te czarne chmury przegoni
 tak długo oczekiwany
 niemal w każdym domu

TELE-OBAMA

I coś z tego że Mesjasz przyszedł
 hebanem z ekranu
 W palmowych osieroconych gałązkach
 dzieciństwa

błogosławiony między plemionami
 o Hosanna bez Husajna
 I coś z tego gazety się dławią
 hostię zbawienia
 papugi pozuja w takt reklam
 kruki przyleciały w akcie dyskrecji
 Kimże jest ten co pachnie raciczkami
 wsparty o chatę zmurszałą na drewnianych
 nogach

Wielcy aktorzy widowiska
 dokonują akceptacji z bliska
 a rdza historii jak zwykle
 śmieje się dyskretnie

W bruździe spalonego sumienia
 nawet popiół
 nikogo nie zainteresował

W OBJĘCIA MAMY

Abecadło życia
 jak wiersz
 od czego się zaczyna
 od pierwszych koślawych
 jęku liter
 by wnieść się
 pod fartuch mamy
 by strumienie warkoczy
 dotykać i głaszać
 nim zakwitnie
 historia zdobywcy wszechświata
 od pierwszego paznokcia
 po szczyt łokcia w objęciach
 by zasnąć w szczęśliwości odwiecznej
 dobroci niezmordowanej mamy

PRZYMIARKA

„na wypadek terrorystyczny
 lepiej być przygotowanym
 zawczasu”

Gdy nowy garnitur ubieram
 świadomość błądzi po omacku
 czy szczęścia szukać w kieszeni
 czy futerał ten jest ostatni
 Teraz ciało katować już muszę
 Jak w nim pomieścić mam duszę
 a jak się w trumnie nie zmieści
 powiem nie jestem z tym pierwszy
 Eksperyment się udał
 w wierszu się cała zbrodnia ukryła
 ostatnie spojrzenie choć nikt nie widział
 taka przymiarka na niby
 a nóż się przyda
 w kieszeni.

W BRUŹDZIE SUMIENIA

W bruździe szerokiego sumienia
 jest miejsce na ciszę
 kowal podkował tu szczęścia nie mierzy

W bruździe zbrukanego sumienia
 trzepoczą resztki sztandaru
 co miał dotknąć
 z fanfary zwycięzcy
 szczyt ideału
 oderwanego
 od IDEI

Wanda uśmiechała się, dziękując za wspomnienie



*Czwartkowe popołudnie,
słoneczne i wietrzne. Czer-
wiec. Miesiąc, który od
dwóch lat kojarzy się z jed-
nym - pożegnaniem kole-
żanki, przyjaciółki i poetki
- Wandy Majewicz-Kulon*

Wspomnienie tej właśnie twórczyni wierszy, których strofy często recytują uczniowie bytowskich szkół, skupiło kilkadziesiąt osób w Bibliotece Miejskiej w Bytowie. To było już drugie takie spotkanie, kiedy przybyli literaci, rodzina i przyjaciele. Wszyscy ze szczególnym sentymentem przypominali dorobek literacki swojej ulubionej poetki.

Wanda Majewicz-Kulon należała do bytowskiego „Wersu”, ale też do słupskiej Grupy Wtorkowe Spotkania Literackie. W obu grupach podczas spotkań integrowała koleżanki i kolegów, zachęcała do współpracy i odwiedzania się wzajemnie. Była członkiem honorowym Stowarzyszenia Przyjaciół Szkoły „Zawsze Razem”. Kilka lat współpracowała ze Szkołą Podstawową nr 1 w Bytowie, co zaowocowało m.in. dwukrotnym wydaniem wierszy dla dzieci pt. „Tęczowa wylicznanka”. Nie dziwiło więc, iż o godzinie 16.30, 9 czerwca zamkowe komnaty zaczęły przysłuchiwać się wspomnieniom o Wandzie. Dialog z nieżyjącą poetyką w ramach wieczoru

zatytułowanego „W zwierciadle pamięci” podjęli uczniowie szkoły, z którą wiele lat współpracowała i literaci.

Przypomniano wiersze, które powstały tuż po śmierci poetki, a także napisane specjalnie dla niej. Wystąpili m.in.: Krystyna Wojewoda z Miastka, Irena Peszkin-Bobińska z Koszalina, Jolanta Świdorska z Gałąźni Wielkiej, Leszek Krawiec z Nowego Pola, Jerzy Koncik, Waław Pomorski, Andrzej Waszkiewicz - wszyscy z Bytowa i niżej podpisana.

Muzycznie wieczór uświetnił Aleksander Kikcio. Przypomniat kilka ulubionych przez poetkę utworów, następnie zupełnie przypadkowo stworzył się muzyczny duet z Zenonem Lasoniem ze Słupska. W jego wykonaniu zebrani usłyszeli „Balladę o poetach”, a po niej wszyscy zaśpiewali wiersz Wandy pt. „Wystarcza mi”. Zrobiło się lirycznie i sentymentalnie, ale Wanda Majewicz lubiła taki nastrój. Nie stroniła też od humoru. Sama pisała fraszki i zabawne humoreski.

Za wzruszające przypomnienie zmarłej poetki podziękowała jej córka - Marzena Żądło, a prowadzący spotkanie A. Waszkiewicz z Bożeną Mazur - dyrektorką biblioteki zaprosili na zaplanowane inne jeszcze poetyckie spotkania do biblioteki.

Po oficjalnym zakończeniu długo trwały jeszcze rozmowy, którym wtórowały kapele ptactwa nad dachowym gzymsiem biblioteki i rozkwitającej w jej pobliżu pięknej lipy. Na biurku w czytelni, w zamkowej komnacie Wanda Majewicz-Kulon uśmiechała się tylko z czarno-białej fotografii, dziękując za wspomnienie.

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

Wanda Majewicz-Kulon - Wiersze



W TĘ NOC

*Jakie dziś niebo gwiazdziste
Z księżycą sływa jasność
W tę noc jaśminem pachnącą
Grzechem byłoby zasnąć.*

*Jak dobrze że przy mnie jesteś
Ze czuję twoją bliskość
Wtulę się w twoje ramiona
Nie dam ci nawet przysnąć.*

Czerwiec 2007 r.

WYSTARCZA MI

*Wystarczy mi tylko
Tych słów kilka miłych
By oczy me smutne
Ognikiem iskrzyły*

*Wystarczy mi tylko
Twe słodkie spojrzenie
Muśnięcie powiek
Już budzi pragnienie*

*Wystarczy mi tylko
Woń chabrów w twej dłoni
Drzę cała z rozkoszy
W błękicie ich toni...*

2009 r.

PURPUROWE PYSZNOGŁÓWKI

G. W. Pomorskim

*Purpurą słońca zakwitły pysznogłówki
Strojne, szykowne niczego sobie i owszem
Podnoszą z wdziękiem swoje piękne główki
Jak dziewczęta z zespołu „Mazowsze”*

*Na głowach zmyślnie ułożone płatki
Dodają im szyku stylu i urody
Zadziwiają wszystkich te purpurowe kwiatki
Bo zgrabne są jak modelki na pokazie mody*

Lipiec 2004 r.



Dzieci nie chcą konkursów?

Od kilku lat zapraszana jestem na konkursy recytatorskie do szkół, bibliotek i świetlic środowiskowych. Ich uczestników w zależności od pory roku czy tematu jest raz mniej, raz więcej. Ale nawet, jeśli cieszy frekwencja, to sama radość z uczestnictwa jest bardzo powściągliwa

Dziś dzieciom, jak same mówią, nie chce się przygotowywać i uczyć. To dodatkowe obciążenie i obowiązek narzucony przez nauczycieli czy rodziców. Dlaczego nie chcą się przygotowywać? Najczęściej odpowiadają, że szkoda czasu, wolą poszaleć na dworze. Mówią też: - a co ja tam wygram, ciągle to samo, książki, gry planszowe, które i tak rzucę w kąt albo oddam na jakiś kiermasz. I jeszcze jedna odpowiedź: - nie opłaca się, ci sami ciągle wygrywają.

Nie jestem jeszcze stuletnią babcią i pamiętam moje udziały w przeglądach czy konkursach sprzed kilkudziesięciu lat. Wtedy sam udział w takim wydarzeniu był już sukcesem i dumą dla dziecka. Jeśli udało się zwrócić uwagę oceniających i zdobyć nagrodę bądź wyróżnienie, to tak uskrzydlało serce, że zaraz myślało się o następnym konkursie. Wszelkie upominki, nagrody były tylko miłym dodatkiem i świetną pamiątką tych cudownych chwil.

Dziś, kiedy nasze pociechy w większości wszystkiego mają pod dostatkiem, nierzadko ponad stan, nie jest łatwo namówić dziecko do powalczenia o kolejny drobiazg, nawet jeśli organizatorom konkursów niełatwo było zdobyć środki, by właśnie taki kupić. Dziś dla samego dyplomu dzieci nie chcą się już przejmować konkursem.

Nauki w szkole nie jest mało, to prawda. Ale często sami wyręczamy nasze dzieci i robimy za nie. Bo jak mamy wiele razy prosić: zrób to, zrób tamto? Kwitujemy problem też stwierdzeniem: jeszcze się w życiu narobi. Zupełnie niesłusznie, bo to niewychowawcze.

Dziś, obserwując własne dzieci i ich rówieśników, przyznaję, iż mają one zdecydowanie mniej obowiązków od swoich wcześniejszych rówieśników. Czy to dobrze? Przecież obowiązki uczą odpowiedzialności, a gdy dziecko jest za nie chwalone, dają satysfakcję, budują poczucie wartości. Czy więc je zmuszać do większej aktywności? Pewnie nie, ale dlaczego nie zachęcać do dodatkowych obowiązków, na przykład do podjęcia trudu przygotowania się do konkursu? Powinniśmy też dzieciom przypominać, że dane nam zdolności należy umiejętnie wykorzystać. Nie należy ich lekceważyć,



bo to się zemści w naszym życiu. Dzieci mają też obowiązek godnie reprezentować swoją klasę i szkołę.

A co robić z tymi, co ciągle wygrywają? Poprosić o wskazówki, nie poddawać się, wszak trening czyni mistrza. Nie złościć, nie zazdrościć, a znaleźć sposób na to, by im dorównać? Jeśli temu towarzyszy zdrowa rywalizacja, to też nic złego. Pamiętać należy, że w konkursach nie wszyscy wygrywają, ale można się z nich wiele nauczyć. Ja wiem, że są wśród nas, dorosłych osoby, które ciągle mają nadzieję, że ich dzieci kiedyś zatrzymają się na chwilę i zauważą książkę, ołówek, docenią własne zdolności, wykażą się kreatywnością, docenią piękno przyrody, zabawę na świeżym powietrzu. Wierzymy, że wrócą zagubione proporcje i era elektronicznych nowości będzie tylko dodatkiem do młodego życia, a nie niszczącą jego lawinę. A jeżeli są to tylko złudne nadzieje?

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

wiersze najnowsze

Emilia Maraškiewicz, Darłowo

24 CZERWCA

Święty Jan chrzci wodę
i zaczyna się tradycyjna kąpiel
aż rzeka skacze na wierzby

w wodzie rojno od młodości
wrzasków śmiechów co niemiara
jakby zarwało się niebo

ktoś skulony siedzi pod wikliną
z trudem dusi płacz w sobie
bo nie umie pływać

inni stoją na brzegu
ręce składają jakby do modlitwy
wyciągają przed siebie i skaczą

Zdzisław Opałko, Słupsk

MOSTEK PRZY ZAMKOWYM MŁYNIE

przez mostek przy zamkowym młynie
przechodzą ludzie i duchy
mijają się choć się nie widzą
ale to oczywiste bo w takim miejscu jak to
gdzie książęcy zamek
młyn muzeum dawna brama miejska
i stary kościół z grobami pod posadzką
obok spichlerza - muszę być...
a przecież tuż obok stare mury
i baszta czarownic
w której kiedyś więziono niewinne kobiety
posądzone o czary skute łańcuchami
skazane na śmierć...

tyle miejsc tak szczególnych i tak blisko siebie
pięknych i okrutnych w swojej historii
cichych i w milczeniu wołających o pamięć
a może to spokój pozorny
piękno i uroda złudne
tylko chłód na plecach
chwilowy prawdziwy... póki co
uśmiecham się widząc kaczkę
wychodzącą z wody
i gołębie bez lęku
czekające cierpliwie na gest

przez mostek przy młynie zamkowym
przechodzą duchy i ludzie
oglądają kłódki związane na łańcuchach
w dowód pamięci przyjaźni miłości
spoglądają na rzekę...

potem idą nieśpiesznie między
straganami jarmarku
sprzedają kupują słuchają muzyki
kosztują specjałów miejscowej kuchni
piją herbatę w herbaciarni

mówię ludzi - bo spotkałem wielu
i duchy - bo nie widziałem żadnego...

Halina Staniszevska, Słupsk

Kroki
tworzą drogę życia
Mapę
Wzlotów i upadków
Tam my
Splątani w uścisku
Niewiedzy*

Usłysz szum traw
ukoją ciała pragnienie
Zanurz ręce w tajemnicy trwania
Pokłony błękitnych chabrow
okryją chłód rozważę
Maki
złożą na ustach
czerwień tajemnej pieczęci

Zbłąkane fale w przestrzeni kosmicznej
Zlepione grawitacją
Tworzą nowe przesłanie
Zakamuflowanych uczuć
Skrywanych pod maską obojętności
Wykrzyuczanych niemym słowem
Nieporadnym gestem zaproszenia
Roziskrzonym spojrzeniem trwać

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

ONA

Rozścieliła obrus mleczem haftowany
Już o brzasku dnia zwiewnie tańcząc
Kropelkami rosy skropiła pokoje
By świeżością rozkoszować oddech

Odcieniem młodych traw rozczesła
Długie splecione warkocze dnia
By przywitać młodzińcze spojrzenia
Nadchodzących polnych bukietów

Niczym wytrawny florysta układała
Wiązanki wieczornych przygotowań
Związując w kokardy zapachów
Sielskiego domowego ogniska

Szczęściem karmiła wyczekane chwile
Rozmowy szepty wspomnienia chowając
W ogromnym skupieniu matczyńskich trosk
Pod przykryciem myśli i też wzruszenia

A gdy zmęczone niebo witało nocy
Wdzięczną szum drzew kołysankę
Przysiadła na skraju blasku księżyca
I zastuchała w uszpaną prawdę...

Jeszcze zanucić chciała do wtóru
Sowie, pisklakom w przydrożnym stawie
Później otulić zmarznęte żrebie
Ale to chyba już sen na jawie.

MARZENIE

Chciałabym się przystroić mgiełką
z muslinu dobroci
Przepasać szkarłatem czystych miłosnych
skrzydeł
W suknię dzierganą odziać spojrzeniem ufności
Z trenem co zwie się pierwotnym pragnieniem

Chciałabym móc założyć wstążki
kwiecistej łaki
Obietnic rajskiego szczęścia płatki
wpiąć we włosy
Chciałabym najczystszy westchnieniem
Budzić się o poranku po nieprzespanej nocy

Jeszcze rozpoznać radosnych myśli dzwonki
Co się beztrudną budzą tuż pod piersią
By się wzruszeniem zalsnąć i kropłą spłynąć
Tak bez powodu uczuciem szczerym pierwszym

Więc się usypiam słońcem błękitnych
spojrzeń nieba
Wtulam w szepty natury muzyczne
akordy życia
I nie wiem czy mnie się uda wytrwać
stąpając boso
Po tej ścieżynie przecież nie wiem ile mam
do przebycia.

Zenon Marian Lasoń, Słupsk

DWA WIATRY

Dokąd tak pędzisz
na osłep - wietrze
- oszalałeś chyba
zza góry wyskoczyłeś
jak diabeł spłoszony
o środku nocy
i gnasz przez lasy pola
przez zagony
- unosisz tumany
sympiesz piaskiem w oczy
przystanąłeś chwilę - dookoła zerkasz
do wiejskiej zagrody
małpim skokiem upadłeś
- hulasz nad dachami

- wywijasz oberka
świnujesz w ogrodzie
na lewo - na prawo
niczym baba - jaga
zamiatasz drzewami
w oknach tłuczesz w szyby
jak intruz - jak złodziej
znów gonisz i skaczesz
po krzakach - po płotach
ptakom spać nie dajesz
gwiżdżesz dookoła
jak jakiś idiota
o północy padniesz
i zaśniesz głęboko

rankiem
obudzony ze snu
cicho szepczesz nad doliną
ptasich wrzasków
i leniwie głaszczesz włosy
pół pachnących
nad łąkami unosisz latawcę
w krainę skowronków
a zmęczone twarze - wachlarzem
pocieszasz
na wzgórzu walczysz - szablami
z rycerzami niebios
i ołowiane góry przenosisz
na skrzydłach

Małgorzata Beskosti, Słupsk

MAŁPI GAJ

Siedzę na krawędzi myśli i wspomnienia,
drążę w pustce uczuć nieforemne zdania,
rozpacz ma zbyt dużo znów do powiedzenia,
miłość się zapada w otchłań niepoznania.
Jestem dziś samotnią, górą na pustkowiu,
łodzią drewnianą zgubioną w oceanie,
impulsem w nagim ciele, skazą na zdrowiu,
jestem solą miłości i szwem w głębokiej ranie.
Choć tak wiele mogę, mając obie ręce,
jak małpa skacze, z przeszłości na teraz,
z radości na smutek, z serca w cudze serce,
zgubiony w myślach, i w bezruchu nieraz.

SZCZĘŚCIE

Czym jesteś? Iskrą, co niebo przecina,
czy ptakiem winującym w przestworach?
Ile dla ciebie znaczy dzień jeden, godzina,
uroki kryjesz w pogodzie, w humorach?
Gdyby cię mieć dłużej niż myśli dystanse,
gdyby móc cię uchwycić pajęczyną słowa,
o tyle bogatsze byłyby oczu romanse,
i rąk pocałunki, ust bezgwiezdna mowa.
A człowiek niby księga, czytana bez umiaru,
co pochłania wszystko milczeniem arkusza.
Jakie piękne słowa! Szczęście tyle czaru
posiada, ile dobra ma człowiecza dusza.

Tak mało z nas słów czułych ulatuje,
choć nieba naszych serc pełne są obłoków.
Zbyt rzadko mówimy szczęściu dziękuję,
żałując sercu uczuć, a oczom widoków.

MŁODOŚĆ

Stoję nad grobem, ustatym z róż rozpaczę,
wpuszczając w ziemię życiodajne soki,
Ach, żyć świadomie - coś w ogóle znaczy,
niby smyk niezdamy pierwsze stawiać kroki.
Patrzeć jak słońce igra we włosach,
kwitnąć w zachwycie młodzińczej natury,
sercem wzburzonym, świeżym jak rosa,
co rankiem się skrapla w pocałunku skóry.
Rwicie młodości plony kwiatów płodne,
póki ziemia żyzna w marzenia, nadzieje,
póki serca młode życia jeszcze głodne,
a namiętność płomieniem silnym goreje...
A po wszystkim każdy z was powie nieśmiało,
zmieniając się u progu w rajszych Hamletów,
„Życie człowieka? - Jakże to jest mało”
i zaśnie wśród woni zerwanych bukietów...

Grzegorz Chwieduk, Kępice

Inna niż wszystkie dziewczyny,
jakie spotkałem na swej drodze.
Trudno było minąć Iwonę obojętnie,
bo ona szła tańcząc
niczym kusząca baletnica.
Miała dar lekkiego kroku.
Pragnąłem jej ciała,
gorącego pieca brzucha.
Kaszubska piękność.
Opalała się na ten sam kolor,
przypominała posążek z bursztynu.
Żegnała się ze mną ciągle,
jakby to było nasze
najważniejsze spotkanie.
Śmiała się całą sobą.
Podobnie myśleliśmy,
używając tych samych
czułych zdrobnień.
Wszystko układało się w całość,
nabierało znaczenia i sensu.
Nie istniało pojęcie przemijalności.
Na zawsze razem, tak miało być.
Tak się nie stało.
Była jak ptak,
żyła, by odlecieć.
Mewa na wydmach,
drobny ślad na piasku.
Wtargnęła w męską duszę,
zawładnęła moim światem.
Nie pozwoliła jednak
poznać siebie do końca.
Dobrze poinformowany braciszek
przyznał wczoraj dosadnie,
że zrobiła mnie w bambuko
i teraz następny naiwniak
wpadł w jej słodkie pazurki.

Jan Mikulski, Ostrołęka

strach rozprasza nasze twarze

zaufanie jest jak ogród
pełen słońca i życia

przeszłość to ciężki wóz
który pchamy przed sobą...

bolesne są skorupy łęków
między ludźmi

mury
nie mosty

gdy rzeki pragnień
rwą

i wpływają do morza
wieczności...

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

ZNACZĄCY KRĄG W PURPURZE ODCIENI

Kiedy noc w udziale zaszczytu nie wątpi
bo jesteś błogosławiona i niezastąpiona
podpowiada mi krzak agrestu i poziomek
leśnych
o doskonałości w czym od lipca jestem
splciony liryką
i muzyką wobec przeżyć w akcie purpurowych
brzmień...

Zakładasz sukienkę na okazję by iść ze mną
tam gdzie siostry brzozy wtajemniczają
intymny zasięg -
segregacja jak w bibliotece można sięgnąć
po książkę
przeczytać wiersze o miłości pisarki do poety.

I niech tak zostanie trwałym odcieniem
purpury
względnością powracających żurawi
domalowanych -
a sosny nad morzem nie próżnują w kręgu
znaczącym.

WIERSE, KTÓRE TWORZĘ..

Jeśli to dar to nie dziękuję
jeśli ktoś z przodków był poetą
to też mu nie dziękuję,
wystarczająco poznałem trud powstawania
wierszy -
opisywać codzienność nie jest łatwo.

Kojarzę leśną ścieżkę
cnotliwość jak kwiaty lnu błękitom sprzyjają,
nie widzę człowieka.

Ale to ścieżka ma przyjaciół po dwóch
stronach drzew -
i to są tendencje dla mnie bliższe
od mijających ludzi na betonowych
chodnikach.

Jedyny powód to ty Panno M.
kontynuuję ten różowy zapis by się zmieścić
w wierszu,
złożyć hołd przyrodzie w stylu pocieszenia
za miłość w której rozpalam instynkt odnowy
w boskiej obsadzie ról -
jakby ów intymny świat był ważniejszy
od spowiedzi.

Bądź jaśniejsza -
odbieraj słowa rzeczywiste z uczuć drzew
i z tej ścieżki po której idę do ciebie.

Emilia Zimnicka, Izbica

KWIATY - MOJE CHABRY

Najpiękniejsze kwiaty świata
To chabry wplecione
W złotą ścianę zboża
Kawałki nieba, otoczone
Gęstwiną pszenicy i żyta
Chabry są oczami
Wiejskich dziewcząt
Tęskniących za tajemniczym
Światem
Osnute mgiełką
Żniwnej radości
I oczekiwania
Na macierzankowej miedzy

HISTORIA Z ŻYCIA

Kołyszą się dojrzałe kłosa
Na pomorskiej ziemi
Idzie, idzie złotą drogą
Pani świata z oczami jasnymi
Ogarniając czułym wzrokiem
Tak miasta jak wioski
Szczerze dzieląc pośród wszystkich
Uproszczone łaski
Zaś po śladach świętej stopy
Las dobra wyrasta
Jest przyjazny i cienisty
Ze ścieżką mchem uślaną
Dla błądzących, pokaleczonych
Ma przygotowaną
Komu smutno, ciężko, źle
Kwitnie jarzębina
Nad człowiekiem, który płacze
Tęcza łuk rozpina
Napotkała na swej drodze
Najświętsza Królowa

Biednego, najbiedniejszego żebraka
Który z trudem pod powieką
Gorzkie łzy pochował
Twarz swym płaszczem mu otarła
Rzekła dobre słowo
Tak odrodził się ten biedny
Jak dziecko od nowa
Szedł wśród pola lipcowego
Z uśmiechem na twarzy
Do swej wioski ukochanej
Do spełnionych marzeń.

Lech Kamiński, Koszalin

OOLBRZYMY

Za mym oknem rosną olbrzymy
swymi wierchołkami sięgają pod chmury
gałęziami w takt wiatru powietrze głaszczą
to świerki sosny dęby i buki
w wieku już słusznym - mi wierście

Pamiętaję zdarzeń bez liku
dwie wojny przeżyły w swym kacie
gałęziami poszumiały lat jeszcze dużo
nie będą nam żałować pięknego widoku

Znam też innych olbrzymów
czwórkami w takt marszu właśnie odchodzą
drogą żołnierską prosto do nieba
w żołnierskiej postawie jak bohaterom wypada

W oczach pozostały im jaszczce
tumany kurzu spod Lenino
kolor maków w najpiękniejszej czerwieni
i smród olejów z pięknej Normandii

Pamiętamy i tych wielkich
do cna przesiąkniętych zapachem ognisk
i lasów

Ojczyznę stawili nad życie
pytać o nagrody ani zaszczyty nie śmieli

Odchodzą olbrzymy czwórkami do nieba
co po nich zostanie pamięć czy też drwina
czy dalej morze kłótni ambicją pisanej
który z nich ma krew w czerwienistym kolorze

Czy pieniądź stanie się przepustką do nieba

Małgorzata Wątor, Słupsk

DAMNICA

Porzucone zabawki leżą na podwórku,
Pozostawione puste butelki,
Pijany płot zatacza się
Przez wiatr o tysiącu promilach.

Na historycznej osi czasu,
Pszczola wyleciała z palmiami,
Po chwili rozszepiła się
jak światło pod sklepem

Tworząc nową awangardową tradycję.
Oddaj przechodniu!
Butelkę za 45 groszy i kup nową!

Aż w końcu zadzwoni do Ciebie
Powściągliwość,
Która coś w Tobie pogubi, pochyli i skreśli.

DWORZEC KOLEJOWY W STARYM POLU

Szlaban kolejowy zamknął gębę na kłódkę.
Czerwony długopis migał w sygnalizatorze.
Chodnik deszczem wybatużył oczy
Przez co musiałam iść po schodach
z zakupami.

Wspinać się jak alpinistka
po ruchomych kosteczkach bruku.

W górze nade mną
Domino ze słupów telegraficznych
Kręci się jak dynamo w przewodach.
Lubię nasłuchiwać jak gra ten swój
rytm na kahonie.

Czyli na miedzianym bębnie.
Bo dudni jak olbrzym i świszczy jak świerszcz.

Przeskakując z nóżki na nóżkę
Pomiędzy podkładkami płyty betonowej
Łączącej torowe rękawy
Gram na skrzypcach śmierci

Wygrałam!
Wygrałam sobie mój własny rytm.
Zwinnie
Przeskoczyłam na drugą stronę dworca i
Wpadłam w kompost.

Ireneusz Borkowski, Słupsk

WIDZĘ INACZEJ?

Brudne zasmarkane dzieci bawiące
się przy klatkach schodowych, ulice
zaśmiecone a bloki zaniedbane od lat.
Miasto nie ma pieniędzy by zaglądać głęboko
do świata ubogich i samotnych.

Ich już nazwali:
Patologia, brudasy i pijacy...
Ale czy na pewno???
Są tam dzieci, starszankowie i chorzy
opuszczeni przez rodziny.
A przecież dzieci nie piją, starszankowie
walczyli niegdyś za nasz lepszy kraj,
opuszczeni zostali ci, co już nikomu nic
nie dadzą, są dziś biedni, ktoś wysłał z
nich ostatni grosz i opuścił.
Nie są nikomu potrzebni.
Widzę inaczej?
Jesteśmy w nowoczesnej Europie
A ci ludzie tu są z nami,
Czekają na naszą pomocną dłoń.

Moja pani wielkich wzlotów



Zaczęło się od podglądania, a było to podglądanie dziecka z jego wrażliwością, całym tym światem, tak nagle wyrwanym z korzeniami. Sanatorium Ludwikowo, niedaleko Poznania przyjęło mnie na równe dziewięć miesięcy. To stan hibernacji, nowy stan embrionu złożonego w ofierze podstępnej choroby

Moja czarodziejska góra miała wymiar niewielkiego wzniesienia z zamczyskiem białych kitli. Do wrót prowadził betonowy, szary chodnik dla skazańców podobnych do mnie. W tym przez Boga zapomnianym odludziu typały groźnie kwadratowe oczy podobnych zamków, miejsc odosobnienia dla podobnie uwikłanych chłopców w chorobową intrygę w tle z prątkami Kocha. W moim zamczysku z zębami krat na parterze przemykały na biało ubrane duchy i czasem ocierały się o mnie, częstując tabletką lub kując dziewiczą pupę zastrzykami. Kiedy zmęczony tym wszystkim zasypiałem na szerokim parapecie okna, wtedy przychodził mój dziadek Stanisław Lipiec i wraz z kroplami deszczu dzwonił palcami w szybę. To była bez słów rozmowa, lecz słowa wydawały się być tu nie na miejscu. Bo, o czym mielibyśmy sobie opowiadać? On przecież wiedział, co było w nas, znał ją dobrze z zawilgoconych i zatęchłych ciasnych izb chłopskiej chałupy. Znał ją też z więziennych cel, kiedy jako przedwojenny chłopski wichrzyciel trafiał tam na długie noce. Wiedział, co było w nas, a raczej było tylko we mnie, bo mój dziadek Staś jako stary, zasłużony komunista przeniósł się pewnej pogodnej niedzieli w pidżamie w zielone paski na łono Stwórcy. Chociaż nie wiem dokładnie, czy tam trafił, gdyż ideologicznie go nie uznawał, nie uznawał również Kościoła i tego wszystkiego, co mogło go mu tylko przypominać.

I jakby naprzeciw temu wszystkiemu stała moja babcia Anna, rozmodlona dewotka, trzymająca wartę przy grobie Pana. To trwanie, które uporczywie ignorował mój dziadek miało znamiona wojny podjazdowej. Ale przecież ona dobrze wiedziała, że jest to tylko pozór, bo chłop z chłopów nie może tak nagle odrzucić Boga, nie może też się go wyprzeć. Wiedziała też, że to drzemie gdzieś głęboko w trzewiach chłopskiej doli, że on i Bóg to tak naprawdę jedność, której nie da się rozłączyć żadnym nakazem czy uchwałą plenum.

Wtedy tam, przy oknie zamku, na szczycie czarodziej-skiej góry czułem z nim zespolenie i choć pewnie zdawałem sobie sprawę, że jest tylko mirażem, sennym omamem, postacią z mgieł i przypuszczeń, to chciałem z nim krzyczeć. To my mamy prawo dyktować zasady innym i sposoby, jak żyć, to my staniemy na czele wielkich armii zarażonych prątkami Kocha i wykrzyczymy w twarz przerażonemu światu o wyższości i pewności naszej choroby. Bo tylko ten ma prawo przenikać w inne umysły i naznaczać je, kto doznał cierpień i nakłuć, które predestynują go do wyższych celów.

Ten, który wyrósł z chłopskiej niedoli i niedolą był okraszony po wsze czasy, miał prawo tak sądzić i decydować, choć inni śmialiby się z niego, złorzeczyli i przeklinali. To przecież on był górą, bo tylko on był naznaczony. Zawsze jakoś w tym momencie dziadek mój zniknął, rozpytywał się wraz z mgłą, której nie było, bo była tylko w mojej głowie, w tym wszystkim, w czym upatrywałem postaci dziadka, a co postacią przecież nie było, tylko wyobrażeniem jego osoby. Nie mogąc po ludzku zrobić kroku w jego kierunku, płakałem, a płacz mój był wielki na miarę jego cierpień, wzlotów i upadków, na miarę idei, na miarę lat tak wspaniałych i zarazem lat, które te czasy przeklinały. Wzbudzałem tym zainteresowanie białych rękawów, które potem układały mnie w ostemplowaną pościel.

Podglądać należało umieć. Byle kto nie mógł na przykład zauważyć przemykającego nauczyciela geografii z jakimś zawiniątkiem pod pachą w kierunku sanatoryjnej kottowni. Nie pojawiała się długo pielęgniarka, pani Klara, z którą długo o czymś rozmawiali przy innych okazjach, a nawet się obściskiwali, więc co tam robił? Snułem przy tym teorie z nosem przylepionym do szyby, aż pewnego dnia postanowiłem sprawę wyjaśnić. Niepostrzeżenie zakradłem się do kottowni i przyklejony do ściany nadstuchiwałem rozmowy palacza z nauczycielem. Do rozmowy potrzeba dwojga ludzi, ich wyglądała na monolog, główny wątek ciągnął nauczyciel. Palacz albo nie przerywał, albo rzucał spójniki w rodzaju: ja pi...lę.

Nauczyciel zawlekł tego dawnego chłopca, w najlepszym przypadku czteroklasistę do Ameryki Środkowej, potem opowiadał o cywilizacji Majów i Inków i dolinie rzek Babilonu, przez wieki zrobił skok do dynastii Jagiellonów, pozostał na chwilę w oświeceniu, zahaczył na moment o historię wybuchu drugiej wojny światowej. I wtedy palacz jakby się wyrwał z chwilowego oświecenia, spojrzał na nauczyciela używając przekleństwa święcącego w owym czasie tryumfy w rodzaju: k...mac i sięgnął do mebla. To, które w swojej młodości mogło uchodzić za kunsztowne biurko w jakimś gabinecie, komunistycznego notabla, na którym pewnie zalegały stosy dyrektyw i okólników, nawet nie przypuszczało, że skończy przykryte kotłownianym kurzem. Palacz wyciągnął flachę czegoś siwego i rozlał w brudne musztardówki. Oboje palili przy tym olbrzymie ilości papierosów i spluwali pod piec, na coś wyraźnie czekając. Gdzieś zniknęło zawiniątko nauczyciela, a oni snuli potem opowieści o dupie Maryny. Wyglądało to na spiszek, ale, przeciw komu?

- No, bo jeśli przeciw białym duchom na zamku, to chętnie się przyłączę - stwierdziłem to w skrytości ducha ze strachu przełykając ślinę, a jeśli przeciwko internacjonalistycznemu porządkowi, nie byłem tego już taki pewien, czy na taką krucjatę będę miał siły i czas, a także pozwolenie tego w walonkach przy szlabanie. Tymczasem palacz otworzył drzwiczki pieca i spojrzał na zegarek, pewnie radzieckiej produkcji, co stawiało go w rzędzie ludzi uprzywilejowanych, a może tylko cwanych, gdyż mógł ten zegarek komuś zwyczajnie ukraść. Kiwnął na nauczyciela i obaj wydobyli z pieca jakiś żarzące się bryły. Kolejny papieros doprowadził do zdemaskowania najdoskonalszego szpiega wszechczasów, dziesięcioletniego chłopca, który sądził, że jego zespoleńca ze ścianą kottowni nikt nie usłyszy. Spadły jakieś cęgi i oznajmiły moje przybycie. Ten od zegarka radzieckiej produkcji był zde gustowany, jego profesja znała pewnie podobne hałasy, ale nigdy w wykonaniu dziesięcioletniego gapia. Chciał mi dać po łbie i wykopać za metalowe drzwi, ale nauczyciel chwycił jego robociarską dłoń w sposób, jaki często przedstawiano sojuszu robotniczo - inteligencki, który zawisł nad moją czupryną, jak miecz Damoklesa i tylko, dlatego jej nie straciłem, bo w porę przybyła odsiecz z pułkownikiem Wołodajowskim.

Po ostygnięciu emocji wyjęta z pieca bryła - jak się potem okazało gliny przybrała całkiem realne kształty. Wyłonił się nagle pastuszek z gęsią u nogi, zapatrzony gdzieś w dal, obok stała Marysia z konewką, a gliniana woda rozlewała się wokół jej bosych stóp. I był także pan Jakub z placu przed restauracją „Targowa” w Słupsku, który tak chętnie gaworzył z moim dziadkiem po udanym targu na rynku przy ulicy Wolności, wcześniej nieco nadużywszy tego i owego ze zbiorów knajpianego bufetu. Zapamiętałem go z batem w zaciśniętej dłoni, w śmiesznej furażerce, z szeroko rozsuniętymi połamami płaszcza, spod którego wyłaniały się dziadkowo podobne oficerki. Zawsze prześcigałem się z braćmi w ich wypastowaniu, musiały lśnić jak psu jajca, co by to miało nie znaczyć. Ale dziadek tak mówił, więc wierzyliśmy mu na słowo, że owe jajca rzeczywiście muszą pozostawać w należytej kondycji.

Odtąd częściej, niżli moi naznaczeni koledzy, uczestniczyłem w spisku przeciwko nudzie, szarości, hipokryzji i ujednoliceniu mas. Polski właściciel radzieckiego zegarka mruczał na mój widok, ale nauczyciel nic sobie z tego nie robił. Przynosił do wypalenia coraz to nowsze figurki, a któregoś dnia kulę glinki i położył ją przede mną. Nie wiedziałem, co mam z tym zrobić, a on się tylko przyglądał. Tam, w domu pewnie cisnąłbym nią w płot sąsiada lub wymazał sukienkę siostrze Wandzie. To było wyzwanie, więc włożyłem nieporadne paluchy w ciasto i wyszła mi gęś o nóżkach krokodyla, potem pies z trąbą słonia, a na koniec kura z jajkami od strusia. Nauczyciel spojrzał na moje arcydzieła, uśmiechnął się i wsunął do pieca. Następnym razem znów położył przede mną kulę glinki. Tym razem moje wypociny bardziej przypominały pierwowzór, gęś odzyskała swoje nóżki, pies pokazał zęby odzyskawszy normalny pyszczek, kura mogła wreszcie wysiadywać swoje jaja, a ja nabrałem pewności siebie. Skąd wiedział, że mógłbym coś zrobić z tej glinki, przecież miałem dopiero dziesięć lat, chodziłem do sanatoryjnej szkoły, nakłuwany niemożliwą ilością igieł strzykawek, dokarmianymi tabletkami, czy poprzez ten cały czas dojrzewałem, aby stać się artystą?

Zawsze obawiałem się słowa „artysta”, tego jedyne go słowa, które przylgnęło do mnie, jak ulał. Bo tam, gdzie mieszkaliśmy w ciasnej kulturowo społecznośc i repatriantów, chłopów i robotników, słowo „artysta” oznaczało w najlepszym przypadku dziwaka, a prawdę mówiąc, wariata, na którego trzeba było uważać. I kiedy już byłem dorosły i nasze słupskie muzeum wzbogaciło się o pokaźny zbiór prac Witkacego, którego również określano mianem „wariata z Krupówek”, zdałem sobie sprawę, że przecież przez całe życie pozostawałem w tym słowie, które po latach nabrało innego wymiaru. Tak mówili dziadek i babcia, tak też powtarzali rodzice. Słowo „artysta” użyte po raz pierwszy wobec mojej osoby niosło ze sobą wolność, choć pewnie długo mi jeszcze towarzyszyły okólniki, nakazy i zakazy, wiara w nieomyślność. To słowo unosiło mnie i stawiało w rzędzie osobników odmiennych, może szurniętych, osobników zagrażających normom społecznym, ale nieodizolowanych społecznie. Nie czułem się zagrożeniem dla kogokolwiek, wołałem tak niż jak reszta rówieśników, przyjmować nowomowę za pewnik.

Ten rzeźbiarz z sanatoryjnej kottowni nauczył mnie obserwować. W tym względzie moje szpiegowskie podchody były niczym. On rozpoznawał w korzeniu drzewa przyszłe kształty rzeźb, uczył rozmawiać z kłocami powalonego drzewa, co wydawało mi się wtedy dużym nadużyciem. Stosuję to do dzisiaj zanim pierwszy raz wbiję dłuto w kawał lipowego drewna. Jego spuścizna przetrwała we mnie i choć nie wiem, jak się nazywał, to wiem z całą pewnością, że był pierwszym, który ukształtował mnie artystycznie. Potem były wzloty i upadki, często bolesne, niekiedy zdradzałem sztukę na rzecz świata polityki i działalności związkowej,

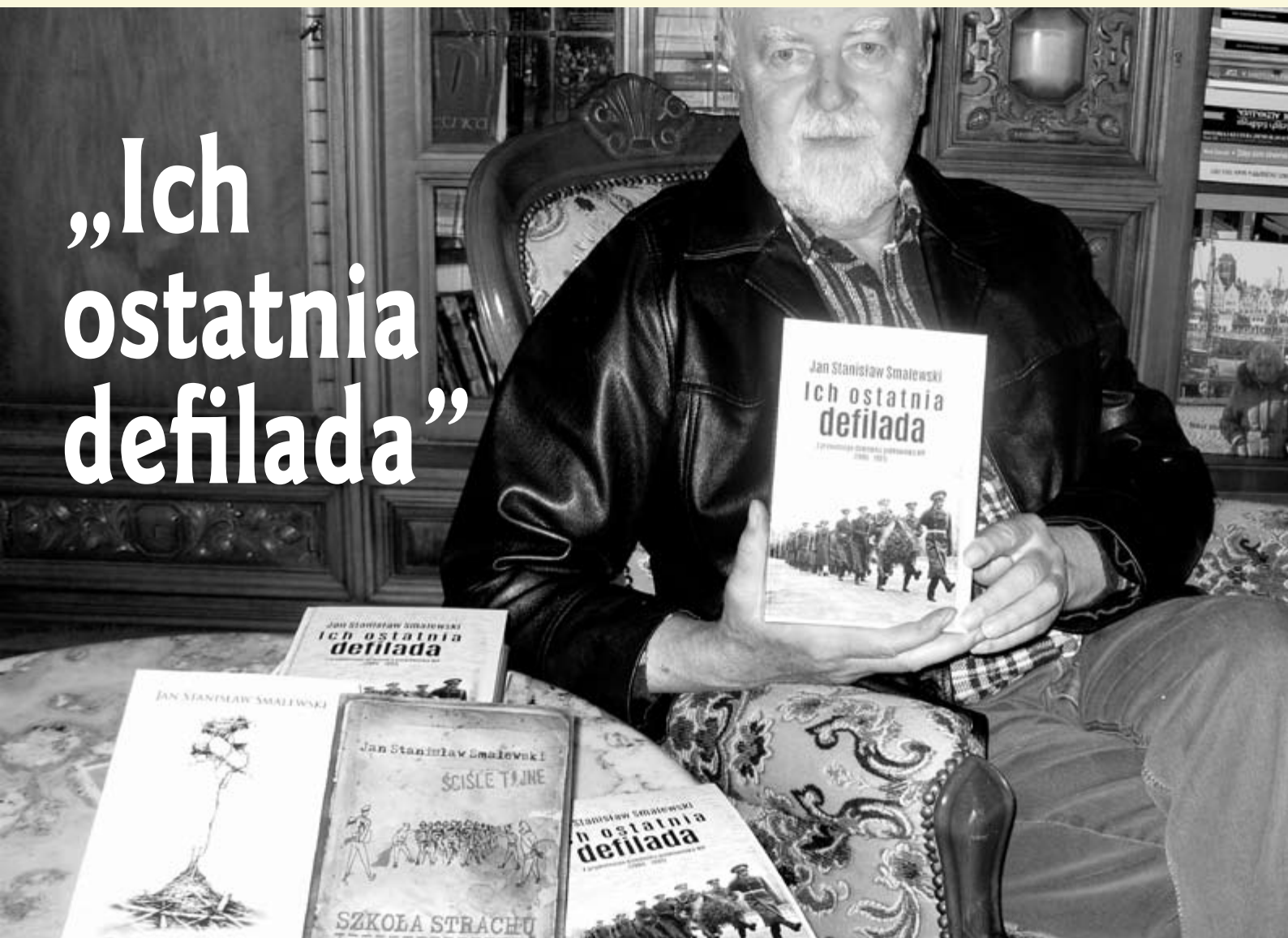
ale nikt nigdy nie zaprzął mi bardziej uwagi niż moje pierwsze nieporadne gliniane formy.

Moja choroba i ten pobyt wśród glinianych form, obcych mi ludzi, po wielokroć odbywanych zabiegów, zmieniły mnie na zawsze. Nie byłem już tym samym małym dziesięcioletnim chłopcem z puklami jasnych włosów. Ja zostałem obserwatorem. A ta nominacja znaczyła więcej niż rzeczy dziejące się wówczas dokoła. Odtąd wszystko to, co zaprzętało mój umysł, musiało być osadzone w świecie sztuki i iluminacji.

Nie odkrywałem jej na nowo, interpretowałem po swojemu w ramach tego, co przekazał mi zupełnie nieznaną człowiek. Pewnie spogląda on na mnie z góry i czasem się złości, że nie postępuję tak, jak mnie tego uczył, że zarzucam to, co jest we mnie, a o czym przypominam sobie od święta. Przez to też byłem samotnikiem, aż kiedyś w dorosłym już życiu poznałem swojego anioła, któregoś dnia zszedł ze schodów rodzinnego domu i stał się moim drogowskazem na resztę życia.

Czesław Kowalczyk, Słupsk

„Ich ostatnia defilada”



W maju br. Jan Stanisław Smolewski obchodził 70-lecie swoich urodzin. Pisarz postanowił uczcić to kolejną książką, która z tej okazji ukazała się w wydawnictwie Magnolia

Książka nosi tytuł „Ich ostatnia defilada” i jest trzecim z kolei (po „Prawiczkę” z 2014 roku i „Szkole strachu” z roku ubiegłego) dziennikiem prywatnym pisarza. Pisanie dzienników osobistych, prowadzenie pamiętnika to sztuka nie lada. Po pierwsze wymaga systematyczności. Po drugie określa piszącego jako człowieka głęboko przeżywającego swój udział w przestrzeni publicznej - głębiej przeżywającego, mocniej trzymającego się rzeczywistości, twardziej stąpającego po ziemi.

„Tyle po nas pozostanie, ile wiatr zasieje” - brzmi jednak motto nowej książki Jana S. Smolewskiego. - „Wiatr jest więc nośnikiem przemijania, czegoś nietrwałego, tymczasowego”. - Tak autor dedykuje książkę „potomnym”, chcąc w ich pamięci pozostawić nie tylko ślad swojego istnienia, lecz także, a może nawet przede wszystkim ślad czasu, w którym dane mu było żyć i tworzyć - część historii, którą uznał za godną utrwalenia w swoich dziennikach i opublikowania ich w formie książkowej.

Twórczość pamiętnikarska jest nam znana od zarania istnienia literatury. Śmiem twierdzić nawet, że dzięki niej literatura w zamierzczłej przeszłości się rozwinęła, a już na pewno wzbogaciła o trwałe wartości dokumentacyjne, dotyczące w szczególności upamiętniania historii i tradycji narodowych. Sam autor tworząc swoje unikatowe pozycje historyczne o armii krajowej i sowieckich łagrach też korzystał z notatek i przekazów o charakterze pamiętnikarskim, które udostępnili mu bohaterowie jego książek.

Z formą pamiętnikarskiego zapisywania swego życia spotkałam się osobiście także i ja. Miało to miejsce jeszcze w mojej młodości, kiedy w ręce - jak to się mówi - wpadły mi zapiski prababci Rozalii. Po latach, z czasem coraz bardziej wartościowe dla mojej rodziny, bo skrywające odległe już tajemnice całego rodu - jego genealogii, warunków życia, tradycji i obyczajów, jakże dzisiaj różnych od ówczesnych. Próbkę tych treści w moim opracowaniu literackim drukowane były ostatnio we „Wsi Tworzącej”.

Przyznam, że sama także próbowałam potem pisać swój pamiętnik, niestety utwierdzając się w przekonaniu, że łatwe to nie jest. Współczesna kobieta ma tak wiele obowiązków i tak krótki jest jej dzień życia, że po prostu na pisanie dziennika, mimo szczerych chęci, brakuje jej czasu.

Jan Smalewski pisanie swoich dzienników rozpoczął jeszcze w młodości. Pierwsze jego zapiski dotyczące własnych przeżyć i obserwacji otoczenia pochodzą z roku 1957. Miał zatem jedenaście lat, jak zaczął pisać swój pamiętnik. Ukształtowany w młodości nawyk zapisywania utrwalił się mu z czasem i - jak twierdzi - pozostał do dzisiaj. To swoim dziennikom zawdzięcza obecnie przypisywaną mu lekkość pióra.

Ciekawostką będzie zapewne informacja, iż w czasach, gdy nie było jeszcze Internetu, potrafił on na zakończenie kolejnego dnia zapisać do kilkunastu stron informacji o interesujących go zdarzeniach i przeżyciach osobistych. Czytelnicy jego dzienników mogą zresztą przekonać się o tym osobiście podczas lektury „Ich ostatniej defilady”.

Z psychologicznego punktu widzenia kontakt piszącego z dziennikiem ma wiele zalet. U młodych ludzi wpływa na kształtowanie się charakteru: doskonali zmysły obserwacji i analizy, usprawnia procesy myślowe - samokrytyczne i krytyczne wobec otoczenia.

Jan Stanisław Smalewski ma jeszcze to dodatkowe doświadczenie, że zgromadził w swoim życiu całkiem pokaźny już dorobek literacki. Jego unikatowa trylogia akowska „Opowiedział mi Maks” wydana w latach 1994 - 1996 należy dzisiaj do przysłowiowych białych kruków współczesnej literatury historycznej, a książki o żołnierzach wyklętych, w tym o 5. Brygadzie AK legendarnego „Łupaszki”, o łagrach sowieckich Kołymy i Workuty są dostępne we wszystkich dużych księgarniach na terenie kraju. Smalewski jest także poetą z dorobkiem sześciu tomików wierszy i ich publikacji w kilkudziesięciu antologiach i almanachach literackich.

Nie pisałabym tego wszystkiego o nim, gdyby nie okoliczność szczególna. A nawet podwójnie szczególna. A jest nią po pierwsze - 70-lecie urodzin pisarza i poety i po drugie - wydanie z tej okazji kolejnego dziennika prywatnego „Ich ostatniej defilady”. Dziennika, który dodajmy, jest jednocześnie dwudziestym piątym tytułem książkowym w jego dorobku literackim. Jest też dziesiątą książką, jaką opracował i wydał na Ziemi Pomorskiej. Chciałam napisać - zamieszkując w Naćmierzu, ale byłoby to nieprawdą, gdyż od kilku lat wspólnie rok dzielimy na pół, lato spędzając w Naćmierzu, jesień i zimy w Słupsku, Ustce i Gdańsku. W tych to okresach, gdy autor „nie musi zajmować się ogrodem”, nie uczestniczy czynnie w życiu wiejskim na tle przyrody, powstają jego kolejne publikacje. „Ich ostatnia defilada” powstała

w Gdańsku. A dwie poprzednie: „Prawiczek” (pamiętnik maturalisty) i „Szkoła strachu” (pamiętnik podchorążego oficerskiej szkoły saperów) - w Ustce.

„Ich ostatnia defilada” to w porównaniu do poprzednich dzienników pozycja bardzo dojrzała, a przez to i wyjątkowa. O ile w „Prawiczku” zawierał wspomnienia młodzieńcze wchodzącego dopiero w dorosłość chłopaka poszukującego swojej drogi życia, a „Szkoła strachu” ukazywała, jak ta droga otwierała się przed autorem wspomnień, który wybrał

zawód oficera, o tyle „Ich ostatnia defilada” przenosi nas w zupełnie inny czas - czas człowieka doświadczonego, mającego wpływ na różne sprawy zawodowe, uczestniczącego czynnie w ważnych przedsięwzięciach społecznych i życiowych. To książka napisana na podstawie prywatnego dziennika pułkownika Wojska Polskiego. I mimo swej pokaźnej objętości (450 stron) opisująca tylko zdarzenia z lat 1990 - 1991.

Jan Stanisław Smalewski, będąc pułkownikiem, przeszedł na początku przemian ustrojowych (1989) obowiązkową weryfikację, złożył nową przysięgę wojskową i uwolniony od obowiązku sojuszu z armią ZSRR objął obowiązki zastępcy dowódcy garnizonu Wojska Polskiego w Legnicy, gdzie stacjonowała Północna Grupa Wojsk Armii Radzieckiej. Opisane na tej podstawie kontakty z Sowietami stanowią w jego nowej książce bodajże wątek najciekawszy.

Sowieci, którzy - jak wiemy z historii - w roku 1990 stanęli przed dylematem rozpadu Układu Warszawskiego i wycofania swoich wojsk z Polski, zapisali się trwale w powojennej historii Polski z wielu powodów. Najważniejszym zapewne był ten, który utrwalał ich w przekonaniu, że bronili nasz kraj przed imperialistami z Zachodu.

Dziennik „Ich ostatnia defilada” należy do gatunku literatury faktu. Opisuje zarówno fakty dotyczące przemian w Wojsku Polskim na tle zmian ustrojowych, zerwanych i nowo tworzonej sojuszy, jak i samego wnętrza armii, która w nowej demokratyzującej się rzeczywistości otwiera się szerzej na społeczeństwo, a w szczególności na kontakty z Kościołem Katolickim, który jak wiadomo, odegrał w okresie przemian niepoślednią, stabilizującą rolę, zapobiegając wojnie domowej.

Niemniej ważnymi w niej pozostają także zapiski dotyczące ważnych wydarzeń społeczno-politycznych zachodzących wówczas w kraju. W końcu 1990 roku w Legnicy J. S. Smalewski poznaje także AK-owca Antoniego Rymszę, który podejmuje się opowiedzieć mu swoją wojenną historię walki „u boku legendarnego Łupaszki”, a potem swej gehenny w sowieckich łagrach Kołymy.

To niezwykle opowieści, które tworzą atmosferę sensacji i nadają posmak jego literackiemu dziełu wartościowego dokumentu historycznego.

Pułkownik Jan Smalewski w odrodzonym Wojsku Polskim przesłużył swoje kolejne dziesięć lat życia, ale (z uwagi na ograniczoną pojemność książki) tylko niespełna ponad rok czasu opisał w tej nowo wydanej pozycji pamiętnikarskiej. Na kolejne pozycje przyjdzie zatem Czytelnikowi jeszcze poczekać.

Zofia Maria Smalewska, Naćmierz

Jan Stanisław Smalewski, „Ich ostatnia defilada”, Wydawnictwo Prywatne Magnolia, 2016.





Wiersze życie mi złocą



„Ludziom wśród których wyrosłam / Wsi, którą kocham / Za wydeptane macierzankowe miedze / Czarną ziemię przeoraną pługiem / Aby chleb rodziła / „Dziękuję” - przeczytamy na okładce najnowszego tomiku poezji Emilii Jastrzębek-Zimnickiej z Izbicy, zatytułowanym „Wędrownka lat”



Na stronie tytułowej zamiast motto mamy taki oto wierszyk: „Cóż ja / Prawem boskim i ludzkim / Zaślubiona wsi / Z kwitnącą gałęzią / Odłamanego losu / Szukająca życziwego pnia / Na jego wszczepienie / Czy wydam kiedyś owoc?” Cała to Emilia Zimnicka, zakochana w swojej poezji i pomorskich, wiejskich krajobrazach. Owoce już wydała - pięć tomików swojej poezji, a ten ostatni „Wędrownka lat” wydany w Pajęcznie, gdzie przed wieloma laty ukończyła Liceum Ogólnokształcące i została wiejską nauczycielką, jest godny szczególnie polecenia. Dlaczego? Bo zawiera chyba największej wierszy poetki poświęconych miłowanej przez nią ziemi ojczystej - tej, z której przyjechała na Pomorze, czyli małej miejscowości Zamoście koło Częstochowy i tej, w której od wielu lat żyje wśród ludzi i tworzy swoją poezję, czyli też małej Izbicy w gminie Główny.

Emilia Zimnicka wspomina: - „Ojciec Antoni Jastrzębek uczestnicząc w bitwie nad Bzurą dostał się do niewoli. Jako zbiegły jeńiec musiał się ukrywać. Wkrótce pozbawiono mnie też matki, która została wywieziona na roboty przymusowe do Niemiec. Trafiła do Elsflied koło Bremy, do rodziny Szumacherów. Ojciec nadal się ukrywał, by nie podzielić losu żony. Gdy zabrakło matki opiekowali się mną dziadkowie. Po trzech latach

matka zjawiała się w domu dzięki Szumacherom, którzy udzielili jej urlopu. Dziadek Gondzik szybko załatwił, dla połączonej wreszcie rodziny, przejście do Generalnej Guberni - w pobliżu wsi Zamoście przebiegała bowiem jej granica. Zamieszkaliśmy w Adamowie koło Woli Jedlińskiej i tam przetrwalimy do wyzwolenia w styczniu 1945 roku. (...) Szkołę średnią ukończyłam w Liceum Ogólnokształcącym w Pajęcznie w 1956 roku. Wówczas kadre nauczycielską zasilali młodzi nauczyciele, którzy przygotowanie do zawodu zdobywali w przyspieszonym tempie (kursy, studium nauczycielskie). Wśród nich znalazłam się i ja. Po roku pracy w Szkole Podstawowej w Stróży zostałam skierowana nakazem pracy na Ziemie Odzyskane. Już w sierpniu 1957 roku znalazłam się we wsi Dalecino koło Szczecinka. Trafiłam na kwatery do życzliwej rodziny Julii i Michała Beńko. Wspierali mnie w osamotnieniu i pomagali przetrwać w tych pierwszych trudnych dla mnie latach. W Izbicy mieszkam od 1981 roku. Ziemię pomorską nazywam moją drugą rodzinną ziemią. Pokochałam tu ludzi i przyrodę, która nieustannie mnie zachwyca.”

Chcąc pokazać jak poetka postrzegana jest przez pomorską społeczność, Natalia Kubera, która zebrała wiersze pani Emilii do tego tomiku, przytacza zapisy z gazetki szkolnej z 2010 roku, zredagowanej przez głównych gimnazjalistów. Napisali oni: „Od kiedy (Emilia Zimnicka) mieszka na terenie gminy Główny, pisze wiersze opiewające piękną ziemię kaszubskiej, przyrody, okolic. W jej twórczości spotykamy mieszkańców okolicznych miejscowości, zdarzenia, miejsca dobrze nam znane. Emilia Zimnicka postrzega świat przez pryzmat tradycji ludowej, wiary, baśni.

Taka też jest jej poezja: miejscami wizyjna, delikatna jak wiatr nad jeziora w Izbicy, baśniowa, ulotna. Pełna wiary i nadziei, miłości do wszelkiego stworzenia. Ta właśnie miłość do matki ziemi, zachwyt nad wszechobecnym pięknem natury widoczny jest w niemal każdej strofie utworów Zimnickiej”.

Natalia Kubera dodaje jeszcze, że częstym tematem wierszy poetki z Izbicy są wspomnienia, które kaleczyły jej życie, ale również takie, które „dziś jeszcze życie mi złocą”. Żyjąc w bardzo skromnych warunkach lepszą stronę życia zawdzięcza przyrodzie - dosłownie i w przenośni.

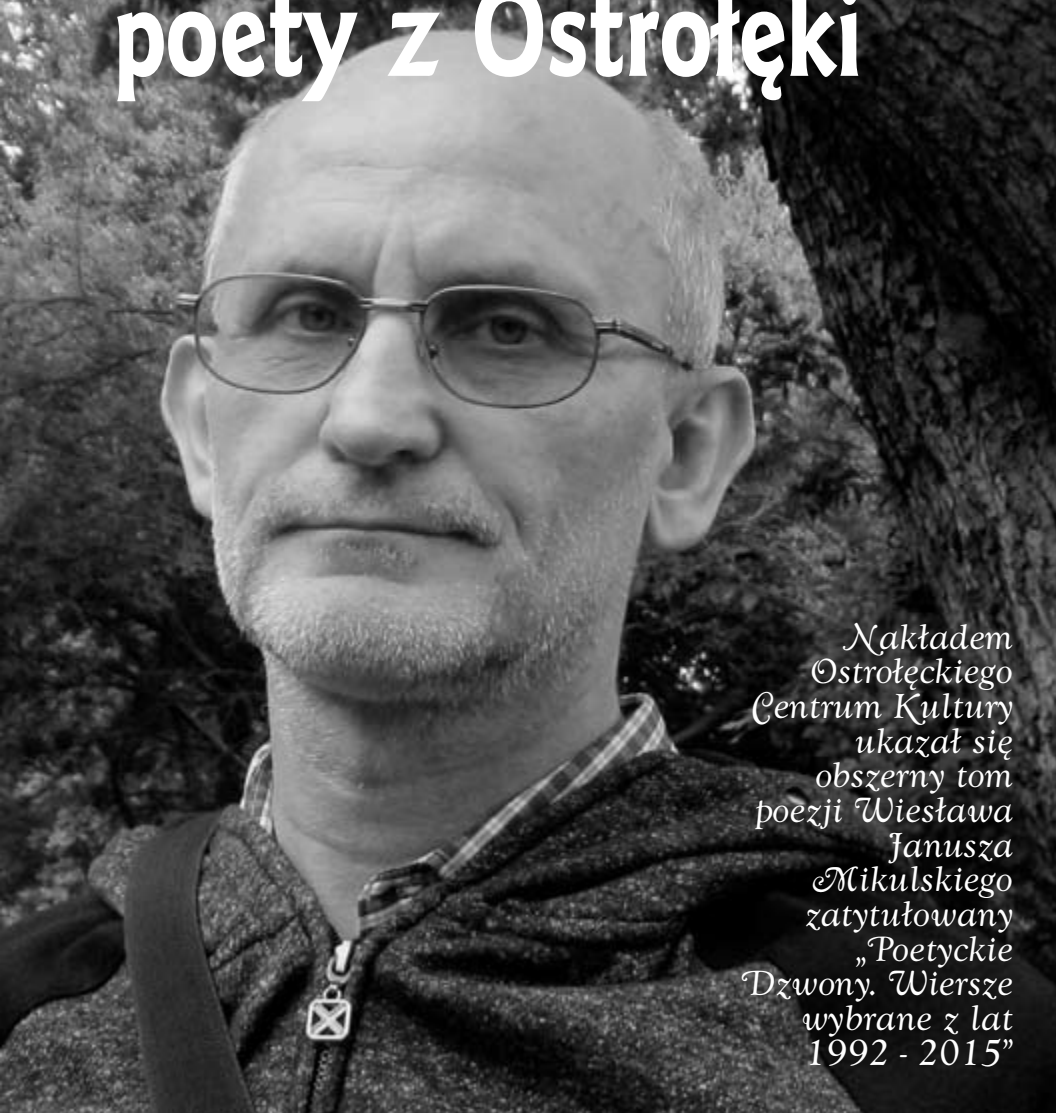
Warto sięgnąć po ten tomik i podelektować się wierszami Emilii Jastrzębek-Zimnickiej. Dla miłośników poezji to z całą pewnością nie będzie stracony czas. Poetka zadbała o to swoimi przepięknymi wierszami, napisanymi z ogromną lekkością pióra i dużym znanstwem podjętego tematu. Warto wiedzieć, że E. Zimnicka od dawna już nie eksperymentuje, nie szuka swego poetyckiego języka. Ona ma już ukształtowany swój indywidualny styl i sposób poetyckiego przekazu.

To bardzo dobra ludowa poetka!

Z. babiarz-Zych, Słupsk

Emilia Jastrzębek-Zimnicka; „Wędrownka lat”, Pajęczno 2016, Druk: Drukarnia forMPRESS, Wola Jankowska.

„Poetyckie dzwony” poety z Ostrołęki



Nakładem
Ostrołęckiego
Centrum Kultury
ukazał się
obszerny tom
poezji Wiesława
Janusza
Mikulskiego
zatytułowany
„Poetyckie
Dzwony. Wiersze
wybrane z lat
1992 - 2015”

Autor od kilku lat współpracuje z grupą poetycką działającą przy słupskim starostwie, zamieszcza swoje wiersze w wydawnictwach powiatu, w tym w wydawanych antologiach poezji. Nie jest poetą wymagającym od wydawcy, przysyła swoje wiersze i cierpliwie czeka na ich druk. Nie zawsze może przyjechać na Powiatowe Spotkania z Poezją (Nie) Profesjonalną do Damnicy, ale bardzo utożsamia się z tą imprezą, czuje się też poetą wiejskim. Z uznaniem odnosi się do tego, co w Słupsku robimy. Wyraz tego dał m.in. w dedykacji przestannego do naszej redakcji najnowszego zbioru swoich wierszy.

Zbiór to ważny, bo - zawiera wiersze wybrane z lat 1992 - 2015, a więc z wcale niekrótkiego okresu czasu i napisane przez autora, który ma na swoim koncie wydanych już osiem książek poetyckich (ostatnia „Brzezi wieczności” ukazała się w 2011 r.) oraz udział w wielu antologiach

poezji - przygotowanych w Lublinie, Krakowie, Białymstoku, Łodzi, Warszawie, Kielcach, USA, Słupsku. Jest publicystą wielu pism, m.in. korespondentem „Głosu Katolickiego”; tygodnika diecezji łomżyńskiej. Otrzymał od redaktora naczelnego tygodnika ogólnopolskiego „Niedziela” medal „Mater Verbi” za pracę na rzecz mediów katolickich. Jest też autorem kilku monografii, został wyróżniony Medalem Komisji Edukacji Narodowej, bo to z zawodu nauczyciel, bibliotekarz. Ukończył m.in. teologię w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie (dzisiejszy Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego), studia podyplomowe filologii polskiej o specjalności nauczycielskiej w Pułtusk (dzisiejsza Wyższa Szkoła Humanistyczna im. A. Gieysztora) oraz bibliotekarstwo w Państwowym Studium Kulturalno-Oświatowym i Bibliotekarskim w Ciechanowie. Nie poprzestaje na raz zdobytej wiedzy, obecnie pisze pracę doktorską z literaturoznawstwa pod kierunkiem prof. dr. hab. Edwarda Kasperskiego z Uniwersytetu Warszawskiego.

Tak więc mamy do czynienia z poetą wykształconym, polonistą, zresztą - jak przeczytamy też w zamieszczonej na wstępie zbioru nocie o autorze - członkiem Związku Literatów Polskich, poetą o dużym dorobku literackim i doświadczeniu pisarskim. Nie jest „literackim gadułą”, jego wiersze mają zazwyczaj krótką formę, w lekturze nie zabierają dużo czasu, łatwo się je czyta. Nie wymagają zbytniego wysiłku, by je zrozumieć, wiedzieć co autor chciał nam przekazać.

Stron z wierszami, najnowszy ich zbiór liczy ponad trzysta, zatem uzbierało się tych życiowych, literackich mądrości wiele. Wielce pouczająca jest to lektura. Trzeba jednak wyraźnie zaznaczyć - pisana bardziej z pozycji teologa, jak polonisty czy zwykłego bibliotekarza i dotycząca bardzo przyziemnych tematów: człowieka, jego miłości do Boga, ludzi, świata, przemijania, szczęścia, odpowiedzialności, wierności, w ogóle bytu itp. Można czytać, podziwiać duży skrót myślowy autora i się zastanawiać nad trafnością wielu stwierdzeń. Z całą pewnością bogata to lektura!

Zbiór wierszy „Poetyckie dzwony” ukazał się w nakładzie 700 egzemplarzy, ma twardą barwną okładkę, oprócz wierszy zawiera też kilka barwnych zdjęć autora i długą listę darczyńców, sponsorów, dzięki którym mógł się ukazać. Poświęcony został żonie poety. Wydrukowała go Drukarnia J.J. Maciejewscy w Przasnyszu. (ZBZ)



Świadek - Jan Edward Maziejuk

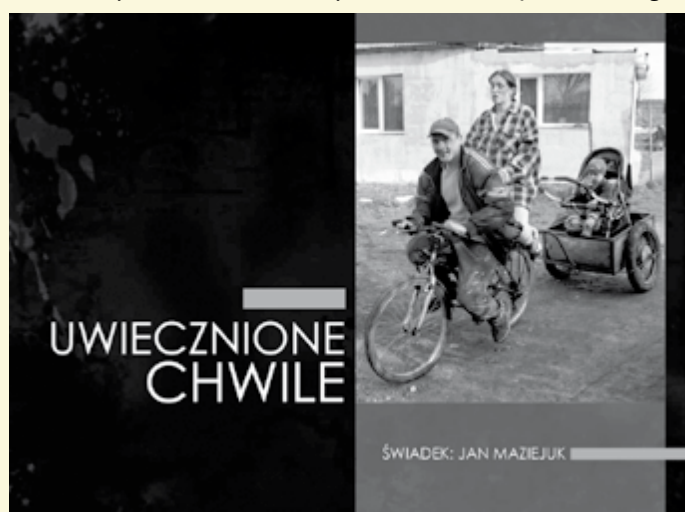


Publikacja „Uwieczone chwile...” jest kolejną interpretacją świata widzianego oczami Jana Maziejuka. Interpretacją o tyle ważną, że autorską. Doboru zdjęć dokonał bowiem sam artysta, decydując które można było pominąć w niniejszej publikacji, a które się w niej bezwzględnie powinny znaleźć

Wyjątkowości człowieka nie można zmierzyć, podlega ona jedynie subiektywnej ocenie tych, którzy znają go osobiście, śledzą jego codzienne postępowanie, albo tych, którzy widzą go poprzez pryzmat jego dzieła. Są ludzie zamknięci, dopuszczający do swojego intymnego świata tylko wybranych, ale są również tacy, którzy dzielą się sobą z całym światem. Jan Edward Maziejuk jest jak otwarta księga, nie ma nic do ukrycia przed odbiorcą - interpretatorem świata przedstawionego w najnowszym reportażu fotograficznym autora pt. „Uwieczone chwile. Świadek Jan Maziejuk”. W publikacji podjęto próbę skupienia dorobku twórczego autora, który od lat 50. XX w. zajmuje się fotografowaniem życia społecznego na Pomorzu. Wciąż z sentymentem wraca do rodzinnych stron (Podlasia), tęskni i z namaszczeniem opowiada o rodzinie, dzieciństwie i młodości. Od dziecka był aktywny. W rodzinnej wsi Jagodnicy czynnie uprawiał sport w LZS „Orły”, w roku 1953 pierwszy raz zetknął się z fotografią, wykonując zdjęcie aparatem fotograficznym KODAK na filmie 6x9. W styczniu 1956 w ramach akcji zasiedlenia ziem zachodnich i północnych, został zwerbowany przez działacza Związku Młodzieży Polskiej z Miastka, i przeniósł się na Pomorze. Chciał zmienić swoje życie, wędrować, zobaczyć świat i o tym świecie opowiadać.

Charakter Jana Maziejuka doskonale określają jego fotografie, będące pewnego rodzaju wyjątkami z życia autora, życia pełnego pasji, niepokoju i zmian. Po przyjeździe na Pomorze, początkowo osiedlił się w regionie miasteczkim, został zatrudniony w PGR Kamnica, pracując tam jako robotnik w grupie budowlanej, następnie jako instruktor kulturalno-oświatowy. Dostał do dyspozycji zdobycz wojenną, radziecki aparat fotograficzny „Zorka”. I tak rozpoczęła się jego przygoda z fotografią, która trwa do dnia dzisiejszego. Z Kamnicy przeniósł się do Wołczy Wielkiej, tam pracował w transporcie budowlanym. Po likwidacji grupy budowlanej zamieszkał w Miastku, z którym związany był do 1972 roku. Znalazł zatrudnienie w Fabryce Rękawiczek i Odzieży Skórzanej. Pracując ukończył szkołę średnią, aktywnie działał w kulturze i sporcie masowym. W latach 1964 - 1972 pełnił funkcję prezesa Ognisk Miejskich Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej „Młodzieżowiec” przy Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, następnie „Obrzeże”.

Mimo licznych zajęć nie rozstawał się z aparatem fotograficznym. Został zakładowym fotografem, dokumentował wydarzenia związane bezpośrednio z produkcją, jak również imprezy kulturalne, oświatowe, sportowe oraz życie codzienne mieszkańców. Aktywnie działał w Powiatowym Domu Kultury, jako instruktor fotografii oraz Miasteczkim Towarzystwie Fotograficznym, organizując plenery fotograficzne. W 1972 roku za aktywną działalność w obszarze kultury otrzymał nagrodę „Zasłużony Działacz Kultury”. W tym samym roku przeniósł się do Słupska, początkowo pracując w Zakładach Obuwniczych „Alka”. Został etatowym fotoreporterem realizując się twórczo w tygodniku „Konfrontacje”, „Zbliżenia” oraz w dzienniku „Głos Pomorza”. W latach 1987 - 1990 był prezesem Słupskiego Towarzystwa Fotograficznego, które za czasów jego prezesury osiągnęło wiele sukcesów. Przez dziesiątki lat dokumentował zdarzenia, o których nie tylko opowiada historia, ale umieszczane są w szerszym kontekście społecznym, historycznym czy obyczajowym. Niezwykłą jego umiejętnością jest zdolność zatrzymania w kadrze konkretnej sytuacji, z jednoczesnym zakotwiczeniem jej bardzo wyraźnie w czasie i przestrzeni. Dzięki temu bogate



archiwum fotoreportera stanowi cenne źródło wiedzy dotyczącej regionu pomorskiego, określa wyraźnie społeczne barwy minionych lat. Każda fotografia ma swoją historię, a autor zna każdą z nich. Spoglądając na zdjęcie, którego był twórcą, potrafi określić czas, miejsce i sytuację, pamięta nazwiska bohaterów ujęcia, niejednokrotnie uzupełnia historię wychodząc daleko poza ramy obrazu.

Wojna, śmierć rodziców, choroba, bieda, przesiedlenie, stały się przyczynkiem do tworzenia własnej wizji świata, utrwalania życia, przemian, przemijania. Jan Maziejuk wiedział, że czas nie stanie w miejscu, nie będzie na niego łaskawie czekał, dlatego też nigdy nie obrażał się na życie, tylko chwycił umykające chwile na zawsze zatrzymując je w fotograficznych kadrach. I nadal korzysta z daru czasu, pracując, nie czekając na „mannę z nieba”. Jest po prostu dobrym człowiekiem. Jego pasja, umiejętność postrzegania świata, dusza społecznika oraz wiedza fotograficzna, pozwoliły na przekroczenie barier. Jak każdy dobry fotograf potrafi dostrzec moment wart zatrzymania tam, gdzie inni nie widzą nic godnego uwagi. Realny świat, sprawy trudne i te zwyczajne, bulwersujące czy zachwycające, przedstawia w swojej fotografii



tak, że nie sposób przejść wobec nich obojętnie. Tak jak nie mijał ich w swoich podróżach sam twórca. Ten wyjątkowy reportażysta-fotografik przeszedł tysiące kilometrów, zdeptał wiele ścieżek, by móc uwiecznić najistotniejsze, jego zdaniem, chwile z życia Pomorza. Jest mistrzem w poszukiwaniu niebłahych wydarzeń, angażując i zarażając informacją innych, równie głodnych życia. Dziś z całą pewnością można mówić o nim, nie tylko jako autorze dokumentalnych obrazów z życia ludzi, ale również jako odkrywcy zajmującego się dekodowaniem historii, interpretatorze uprzywilejowanych wydarzeń. Intuicyjnie wybiera obraz z tysięcy innych, chwycił chwilę, uwiecznia i pozwala innym na własną interpretację. Publikacja „Uwieczone chwile...” jest kolejną interpretacją świata widzianego oczami Jana Maziejuka. Interpretacją o tyle ważną, że autorską. Doboru zdjęć

dokonał bowiem sam artysta, decydując które z tysięcy jego zdjęć można było pominąć w niniejszej publikacji, a które się w niej bezwzględnie powinny znaleźć.

Danuta Sroka, Słupsk

Jan E Maziejuk, „Uwieczone chwile”, Rewa Joanna Barnowska, Ustka 2016.



Emilia Konicer - Węgorzyno

Urodziłam się wśród lasów, bo tata był leśnikiem w Biesowiczkach. Ukończyłam Technikum Leśne w Warcinie, ale pracowałam najpierw w kępieckiej Garbarni, dopiero potem w podjęłam pracę w Nadleśnictwie Dretyń. Moje pisanie zaczęło się, kiedy przebywałam od czasu do czasu w Niemczech. Być może tęsknota za domem spowodowała, że zaczęłam przenosić swoje myśli na papier. Tak małymi kroczkami powstawały moje pierwsze wiersze, które umieszczałam na portalach społecznościowych, a także m.in. w Kwartalniku Łowieckim „Ż Kniei”. (z)

MÓJ PANIE

Panie jeśli nie wstanę na śniadanie
Anieli będą już mnie niańczyć
I przed obliczem Twoim stanę
Pozwól na łące z wiatrem tańczyć
Wieczorem zaś daj gwiazdy w dłonie
Niech światłem w duszy płonie

Wiosną poslij na łąki zielone
Bym mogła zrywać kwiaty -
Naręcze ich przekazać w Twoje dłonie
W zapach tak bogatych
By się roznosił w Niebios przestrzeń
Dotarł w rodzinne strony tam... na ziemi

Latem pozwól mi Panie
W złociste łany iść kołysać kłosa

Choć przeto wiatru do zadanie
Dla mnie jak anielskie włosy
Śpiewać ze skowronkiem nad polami
By niosło w niebo hymn z psalmami

Zaś jesienią po lesie pozwól błądzić
Tuląc do drzew tych bardzo starych
A rankiem usiąść z mgłą co siądzie
Na pniach tych drzew zmurszałych
By móc świeżością dnia oddychać
Błogiej niebiańskiej ciszy słuchać.

Zimą poslij do wrót tej Białej Damy
Co z mrozem dziarsko włada
Choć sroga czasem i się droczy z nami
To stać przy Niej dumnie wypada
Idąc tuż obok będę trzymać berło
By Ci pokazać żem Twą służą wierną

DROGA ŻYCIA

Idąc przez życie mam wiatr we włosach
Bywa że słonko patrzy z ukosa
Czasem potykam się o własne błędy
Stoję na rozdrożu i myślę - którądy?

Czy iść za szczęściem które zgubiłam
Za zdrowiem co po drodze zostawiłam
Za radością zatraconą w pogoni życia
Czy to wszystko jest do ukrycia?

Czy iść przez życie ze szronem we włosach
Niech patrzają inni na mnie z ukosa
Jeśli się potknę - podnieść z uśmiechem
Aby zwątpienia przebrzmiały echem?

Czy szczęście nosić zawsze w kieszeni
Zdrowie jakie się ma zawsze docenić
Niech radość widoczna będzie na twarzy
Dziękując Bogu za to czym obdarzył?